

Linda Turner

Stara miłość nie  
rdzewieje

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zatrąbiły klaksony, zapiszczały opony. Zoe Murdock zaklęła pod nosem, kiedy droga szybkiego ruchu numer trzydzieści pięć w jednej sekundzie zmieniła się w ogromny parking.

- No, ludzie, ruszać się! - Niecierpliwie bębniła palcami w kierownicę. W dodatku temperatura w ciągu ostatniej nocy spadła poniżej pięciu stopni, a w jej aucie akurat wysiadło ogrzewanie. Szczękając zębami, z tęsknotą wspominała gorącą teksaską plażę.

Spojrzała na zegar i wiedziała już, że nie zdąży na umówione na dziewiątą spotkanie z Curtem Elliotem. W dodatku sama była temu winna. Niepotrzebnie wpadła na śniadanie do rodziców.

- Przecież nie musisz tak pędzić - zaprotestowała mama, kiedy próbowała wyjść zaraz po wypiciu drugiej filiżanki kawy. - Dopiero przyszedłeś, a nie widziałam cię od stu lat. Tata będzie bardzo rozczarowany, że cię nie zobaczył, ale akurat pojechał na konferencję do San Antonio. Wypij jeszcze filiżankę i opowiedz, co u ciebie słychać.

Wpatrując się w światła hamulcowe auta stojącego przed nią, Zoe potrząsnęła głową. Matka jest niesamowita. Dobrze wie, co robi jej córka, ale woli udawać, że jest inaczej.

- Pracuję, mamó. W ciągu ostatniego półrocza lista moich klientów prawie się podwoiła. Jestem bardzo zajęta.

Nie powinna tego mówić. Rodzice nigdy nie pochwalali jej pracy jako prywatnego detektywa.

- Odetchnę z ulgą, kiedy minie ci ta fascynacja niebezpieczeństwem - odparła Frances Murdock. - Córka burmistrza nie powinna grzebać w brudach innych ludzi!

Nawet teraz, zmarznięta niemal jak sople lodu, Zoe nie mogła nie roześmiać się na wspomnienie słów, jakimi matka

określiła jej pracę. Dla niej detektyw to ktoś, kto skrada się ciemnymi uliczkami w butach na miękkiej gumowej podeszwie i w wymiętym trenczu. Robota absolutnie wykluczona dla córki burmistrza. Co powiedzą na to sąsiedzi, a przede wszystkim wyborcy?

Właściwie nie było to nic nowego. Od kiedy ojciec zajął się polityką, a Zoe była jeszcze dzieckiem, matka liczyła się z opinią innych. Wszystkie trzy córki Terrence'a Murdocka musiały mieć zawsze odpowiednie koleżanki, szkoły i zajęcia. Wystarczyło, by Frances wspomniała tylko o pozycji ojca, by przywołać dwie starsze dziewczynki do porządku. Z Zoe było jednak inaczej.

Zawsze była buntowniczką. Miała talent do zawierania niewłaściwych przyjaźni i zajmowania się tym, co córce burmistrza nie przystoi, a w wieku lat osiemnastu oczywiście wybrała sobie niewłaściwego mężczyznę. Kiedy, zgodnie zresztą z przewidywaniami rodziców, ten związek się rozpadł, wzięła sobie nauczkę do serca i chcąc zaspokoić oczekiwania rodziny, wybrała kogoś ze swej sfery.

I skończyło się to rozwodem. Tak, pomyślała ze smutkiem, jest dla swych rodziców wyłącznie źródłem rozczarowań.

Rząd stojących przed nią aut ruszył wreszcie, więc gdy tylko mogła, przycisnęła do końca pedał gazu w swym starym fordzie, którego używała do pracy. Starła się nadrobić stracony czas.

Z piętnastominutowym opóźnieniem wpadła do odrestaurowanej wiktoriańskiej willi, w której mieściła się kancelaria prawnicza Curta Elliota. A Harriet Lane, pulchna, podstarzała sekretarka, która rządziła biurem jak sierżant, nie powstrzymała się od komentarza.

- Spóźniłaś się - mruknęła znad maszyny, kiedy tylko Zoe stanęła w drzwiach.

Każdy inny zacząłby się jakoś usprawiedliwiać, ale Zoe nigdy nie dała się nabrać na pozorną szorstkość i chłód sekretarki. Wiedziała, że pod tą fasadą kryje się ciepło i czułość.

- Tylko piętnaście minut - odparła. - Curt jest taki roztargniony, że pewnie nawet nie zauważył mojej nieobecności.

- Tak myślisz? Kiedy zjawiłam się tu o ósmej, klient już czekał na schodach, a tuż za nim wpadł Curt. Całą godzinę wcześniej niż zazwyczaj.

Zoe spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Czy mówimy o tym samym człowieku, który nawet do sądu wpada w ostatniej chwili? Przecież on nigdy nie przychodzi wcześniej!

- Tak - zaśmiała się Harry. - Sama nie wiem, co mu się stało. Pierwszy raz widzę go tak przejętego jakąś sprawą. Można by pomyśleć, że to jego pierwsze zlecenie w życiu.

Zoe musiała przyznać jej rację. Kiedy Curt zadzwonił do niej wczoraj wieczorem, żeby umówić się na to spotkanie, był bardzo tajemniczy i nie chciał nic powiedzieć przez telefon. Miała nadzieję, że porozmawiają chwilę przed przyjściem klienta, ale cóż, przez jej spóźnienie i nadgorliwość Curta okazało się to niemożliwe.

Z nadzieją że jej policzki nie są już czerwone od mrozu, zdjęła grubą welwetową kurtkę i wygładziła brzoskwiniowy sweter z angory, który znakomicie pasował do czarnych spodni. Wiedziała, że włosy rozczochrał jej wiatr, ale na prawdziwe czesanie nie było już czasu, przygładziła więc tylko ręką długie do ramion jasne loki i podeszła do drzwi wiodących do sanktuarium Curta.

- Lepiej wejść, zanim wyśle po mnie pułk wojska.

Ciemne, antyczne meble, biała skóra, książki od podłogi do sufitu i wspaniały widok z okien zazwyczaj działały na nią

uspokajająco. Dziś jednak od razu poczuła, że coś wisi w powietrzu.

Bezszelestnie weszła do środka. Mężczyźni siedzący przy dominującym we wnętrzu mahoniowym biurku nawet jej nie zauważyli. Przez moment mogła przyjrzeć się odwróconemu tyłem klientowi - szerokie ramiona, ciemne włosy, czarny kowbojski kapelusz na kolanach i nerwowe palce, mnące jego rondo.

Nie zdążyła zauważyć niczego więcej, bo dostrzegł ją Curt i zerwał się z fotela.

- Murdock! Szkoda, że nie później! Co się stało? Czyżby któraś z tych twoich łysych opon wreszcie rozerwała się na strzępy?

Często tak żartował, czyniąc aluzję do jej zdezelowanego forda, którego używała zamiast eleganckiego jaguara, czekającego w garażu rodziców. Dziś jednak zrobił to chyba tylko z przyzwyczajenia i bez cienia uśmiechu. Curt, rudowłosy, zielonooki, o chłopięcej urodzie, był wyjątkowo poważny.

- Szczerze mówiąc, popełniłam błąd, wstępując po drodze do rodziców - wyjaśniła. - A potem utknęłam w korku. Przepraszam, że musiałeś na mnie czekać.

Curt wzruszył tylko ramionami. Wyraźnie od razu chciał przejść do rzeczy.

- Nie ma sprawy. Muszę być w sądzie dopiero koło jedenastej, więc mamy mnóstwo czasu.

Spojrzał na siedzącego przy biurku klienta, który na dźwięk głosu Zoe wyraźnie zeszywniał.

- Jake, pozwól, że ci przedstawię...

Jake jednak nie pozwolił mu skończyć. Zerwał się na równe nogi i obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- To jest ten detektyw, którego tak zachwalałeś? Córka burmistrza?

Zoe stała w progu jak zamurowana. Ledwo słyszała, jak Curt tłumaczy, że jej powiązania rodzinne z burmistrzem nie mają nic wspólnego z pracą, jaką dla niego wykonuje. Spojrzenie zimnych, szarych oczu nie pozwoliło jej zrobić ani kroku. W gardle jej zaschło, czuła, jak wali serce.

- O Boże - szepnęła do siebie. - To niemożliwe!

Ale jednak. To bez wątpienia był Jake Knight. Szczupły, wysoki, w ciemnoszarym garniturze podkreślającym szerokie ramiona, wąską talię i biodra, i długie nogi. Od ich ostatniego spotkania minęło dziesięć lat, a on wyglądał tak samo jak wtedy.

Niepewnie przeniosła wzrok na jego twarz. Przystojną, z mocno zarysowaną szczęką i wąskimi ustami. Dawniej była w niej jakaś miękkość, szczególnie gdy na nią patrzył, teraz nie pozostał z tego nawet ślad. Był jak kamień, co podkreślało jeszcze lodowate spojrzenie.

- Jake - wyjąkała. - Dawno cię nie widziałam.

- I bardzo dobrze - odparł, nie siląc się nawet na grzeczność.

Cholera, co ona sobie myśli? Taki z niej detektyw, jak z niego chińska cesarzowa. To przecież ukochana córeczka burmistrza, zepsuta do szpiku kości kobieta, która próbowała zrobić z niego maskotkę... Zawsze lubiła ryzyko i przygody, więc związała się z nim, choć był ostatnim człowiekiem na ziemi, którego mogliby zaaprobować jej rodzice. Kurczę, przecież przed dziesięcioma laty nawet nie skalałaby sobie rączek nalaniem benzyny do swego jaguara, a teraz grzebie w ciemnych sprawkach innych?

- Rozumiem, że się znacie? - Curt spojrział na nich spod oka.

Czy się znają? O, tak, odpowiedziała mu w duchu Zoe. Dawno, bardzo dawno temu, kiedy była jeszcze młoda i naiwna, potknęła się o jego nogę na jakimś koncercie. Poprosił

o spotkanie, a ona natychmiast straciła i głowę, i serce. Zanim zdążyła ochłonąć, był już jej pierwszym kochankiem, pierwszą miłością, pierwszym narzeczonym.

Miała wtedy zaledwie osiemnaście lat, on dwadzieścia jeden. Pracował na jakimś ranczo, zarabiał grosze i marzył, że pewnego dnia będzie miał własną stadninę i hodowlę koni czystej krwi. Jej było wszystko jedno. Był mężczyzną silnym i ambitnym, nie jak ci chłopcy, których dotąd znała. Ci nagle wydali jej się miękcy i słabi. Była nim zachwycona.

Dla rodziców jednak jego społeczna pozycja była nie do przyjęcia i nawet nie ukrywali swej niechęci. A jemu duma nie pozwoliła ich polubić. Nie podobał mu się jej świat, a ona do jego świata nie pasowała.

Mimo wszystko myśleli, że im się uda... w każdym razie na początku. Jednak wkrótce stanęły między nimi jej pieniądze. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego... a potem i z nią. Od tamtej pory minęło dziesięć lat, ale kiedy znów spojrzała w jego oczy, uczucie ponizenia i żalu, jakie wtedy odczuła, wróciły z dawną siłą.

- Na tyle, by się nie lubić - odpowiedziała Curtowi.

- I to bardzo - dodał Jake. - Nie znoszę rozpieszczonych bogatych dziewczynek, dla których bieda jest tylko zabawna.

- A ja aroganckich kowbojów...

- Nie jestem kowbojem...

Nie? Pracuje przecież z końmi, które zawsze tak kochał. Od kiedy wyrzucił ją ze swego życia, udało mu się i bez mej zrealizować marzenia. Miał teraz swoje własne miejsce na ziemi - piętnaście hektarów na peryferiach miasta, gdzie do niedawna trenował jedne z najlepszych koni czystej krwi w całym stanie. Gazety uznały go za świetnego fachowca.

- No, dobra, nie jesteś kowbojem, nie tylko.

- Chętnie dowiedziałbym się, co się kryje za tą waszą wzajemną wrogością, ale naprawdę mamy tu poważną sprawę

- przerwał jej wyraźnie rozbawiony Curt - i bynajmniej nie mam na myśli tego, co jest między wami. Widzę, że nareszcie zaczęliście mnie słuchać - dodał, kiedy w końcu spojrzeli na niego. - Zoe, usiądź i zaczynamy.

Chciała mu odmówić, ale uważała się za profesjonalistkę, więc gdyby teraz wyszła, Jake miałby dowód, że jest dokładnie taka, za jaką ją uważał - rozpieszczona córeczka bogatych rodziców, która z nudów podjęła jakąkolwiek pracę. Jego opinię miała w nosie, ale współpracę z Curtem bardzo ceniła.

Siadając na jednym z dwóch krzeseł przed biurkiem Curta, nawet nie spojrzała na Jake'a.

- No więc? - zwróciła się tylko i wyłącznie do Curta. Uśmiechał się, ale z chwilą kiedy zaczął mówić, był już bardzo rzeczowy i poważny.

- Nie muszę pytać, czy słyszałaś o zarzutach wobec Jake'a, bo całe miasto od dłuższego czasu o niczym innym nie mówi.

Owszem, słyszała. W każdej gazecie mogła przeczytać o tym na pierwszej stronie. Sprawa wybuchła przed miesiącem, kiedy to Teksaska Komisja do Spraw Wyścigów Konnych wymierzyła Jake'owi grzywnę i zawiesiła go za stosowanie dopingu u jednego z trenowanych przez niego koni.

Na tym powinno się zakończyć, ale zniszczyło to jego reputację i właściciele koni powierzyli swe zwierzęta innym trenerom. Kiedy skończyło się zawieszenie, został bez pracy. Jak pisano w prasie, to wtedy postanowił się zemścić na człowieku, którego winił za swój upadek - na Dereku Lincolnie, właścicielu konia, któremu wstrzyknął doping. To on właśnie zwrócił uwagę komisji na to nielegalne postępowanie. Twierdził, że Jake porwał klacz i sprzedał ją fabryce kleju. Tylko cudem ją odnaleziono, zanim została zabita.



- Oskarżono go o kradzież konia - powiedziała po prostu.

Co za absurdalny zarzut! Ale gdyby uznano go za winnego, mógłby dostać nawet dwadzieścia lat. W jaki sposób człowiek, którego kiedyś tak kochała, znalazł się w takiej sytuacji?

Czuła na sobie jego wrogie spojrzenie, jakby to ona wytoczyła przeciwko niemu te oskarżenia.

- Jego ciężarówkę i przyczepę widziano na miejscu kradzieży - mówiła nadal drewnianym głosem. - Rozpoznał go robotnik z fabryki kleju, która kupiła skradzionego konia, a na jego koncie pojawiła się dokładnie taka suma, jaką zapłacono.

- Zapomniałaś powiedzieć, że zostałem w to wrobiony - przerwał jej chłodno Jake. - A może wołałaś to zignorować, bo drań, który to wszystko zaaranżował, jest kumplem od golfa twojego tatusia?

Jego słowa były bolesne jak uderzenie. I trafiły celu. Derek Lincoln był rzeczywiście przyjacielem jej ojca, a dla niej przyszywanym wujkiem. W dzieciństwie huśtała się na jego kolanach, jeździła na barana na jego plecach. Taki człowiek nigdy by się nie posunął do tak niegodziwego czynu.

Ale i Jake nigdy nie zastosowałby niecznych metod, by wygrać gonitwę. A potem jeszcze miałby z zemsty tego samego konia uśmiercić? W każdym razie nie Jake, którego kiedyś znała, nie Jake, którego pamiętała. Ją zranił, ale nigdy nie zrobiłby krzywdy koniowi powierzonemu mu pod opiekę.

- Może i rzeczywiście zostałeś wrobiony - przyznała, patrząc mu prosto w oczy - ale nie przez Dereka Lincolna.

Jej pewny ton podziałał na niego jak płachta na byka. Mógł się spodziewać, że do upadłego będzie bronić człowieka ze swej sfery. Przecież zawsze tak było.

- A to czemu? - warknął wściekle. - Czemu jesteś taka pewna, że nie jest do tego zdolny? Bo ma więcej pieniędzy? Bo co roku cały świat musi wiedzieć, ile daje na

dobroczynność? Pozory mylą, moja droga. To aferzysta, ale sprytny i dba o dobrą prasę. Nie daj mu się zwieść.

- Ale czemu miałby cię wrabiać? Jesteś tylko...

- ...nędznym pionkiem - dokończył za nią z ironicznym uśmiechem. - Bo to ja przyłapałem go, kiedy wstrzykiwał narkotyk swemu koniowi. Powiedziałem mu w oczy, że na niego doniosę, ale on tak to zapętlił, że na winnego wyszedłem ja. Wiedział jednak, że tym nie zamknie mi ust, więc zaaranżował tę całą kradzież. Z więzienia niczym mu już nie zagrozę.

Zoe była zaskoczona logiką jego opowieści. Ale przecież to niemożliwe! Derek Lincoln jest jednym z najbardziej lubianych ludzi w Teksasie i jednym z najbogatszych. Wspiera wszystkie możliwe fundacje pomagające biednym, szczególnie dzieciom. Raz nawet podobno wstał w środku nocy, żeby pomóc jakiemuś dziecku. Taki człowiek nie mógłby zrobić tego, o co oskarża go Jake.

- To musi być pomyłka - nie rezygnowała. Patrzyła cały czas na Curta, jakby szukała u niego pomocy. - Powiedz mu. Przecież rozmawiamy o człowieku o nieposzlakowanej opinii. Sąd nigdy nie uwierzy, że jest zdolny do czegoś takiego. W dodatku działa na rzecz ochrony zwierząt! Nie podałyby narkotyku własnemu koniowi. Ani nie zorganizował jego kradzieży. To wszystko nie ma sensu.

Adwokat nie zamierzał jej przyjść z pomocą.

- Zapomnij na chwilę o swoim niedowierzaniu, Zoe, i o tym, co wiesz o Lincolnie. A jeśli to prawda? A jeśli Derek Lincoln ma swoją ciemną stronę, którą starannie ukrywa? Wszyscy wiemy, że to człowiek, który lubi wygrywać. Gdyby postanowił zrobić wszystko, żeby jego koń wygrał, a potem został złapany, na pewno nie chciałby, żeby wyszło to na jaw. Człowiek z jego pieniędzmi zazwyczaj dostaje to, czego chce. Mamy tu do czynienia z władzą, o której większość ludzi

może tylko śnić. Gdyby zechciał uciszyć Jake'a, odsunąć go na dłużej, nie miałby z tym problemu. I moim zdaniem to właśnie zrobił.

- To jak wytłumaczysz tego robotnika z fabryki, który gotów jest przysiąc, że to Jake sprzedał mu konia? A pieniądze? Jak Lincoln mógłby dotrzeć do rachunku Jake'a bez jego wiedzy?

- To ty mi powiesz - odparł z szerokim uśmiechem adwokat. - Za to ci płacę, zapomniałaś?

- Nie.

To jedno krótkie, ostre słowo zaskoczyło ich oboje.

- Co to, do cholery, znaczy „nie”? - Curt ze zdziwieniem spojrział na Jake'a. - To poważna sprawa, Jake. Bez przytłaczających dowodów przeciw Lincolnowi nie mamy po co w ogóle pokazywać się w sądzie.

- Wiem - odparł Jake. - Ale nie zamierzam ufać tej kobiecie. Słyszałaś, co mówiła. Uważa, że Lincoln jest niewinny. Niech się bawi w detektywa przy czyjejś innej sprawie. Ja chcę fachowca, kogoś, kto będzie bronił moich interesów, a nie swego bogatego przyjaciela.

- Jake, do jasnej cholery, nie znajdziesz nikogo lepszego niż Zoe.

- Daj spokój, Curt - przerwała mu ostro Zoe. Wstała z krzesła i z pogardą spojrzała na Jake'a, jakby był jakimś pospolitym robakiem. Jak na kogoś pogrążonego po uszy był wyjątkowo pewny siebie.

- Pieniądze, moje czy moich przyjaciół, nie mają tu nic do rzeczy - powiedziała zimno. - Ale moja praca tak, a tak się składa, że rzeczywiście jestem w niej dobra. Choć nie spodziewam się, że w to uwierzysz.

Bo i dlaczego by miał uwierzyć? Dziewczyna, z którą był niegdyś zaręczony, miała zainteresowania motyla. Porzucała je, kiedy tylko się nudziła. A nudziła się szybko i wszystkim.

Dopiero gdy przez przypadek odkryła pracę detektywa, stwierdziła, że właśnie tego przez cały czas szukała.

Wyjęła z torebki wizytówkę, napisała na niej adres i z pogardą rzuciła mu na kolana.

- Będę tam dziś wieczór po siódmej. Jeśli rzeczywiście chcesz zobaczyć dobrego detektywa w akcji, przyjdiesz tam.

Po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu.

Przez resztę dnia Jake przekonywał samego siebie, że nie nabierze się na żadne teatralne sztuczki. Niech sobie działa dziś nawet jak Columbo. On na pewno nie będzie tego oglądał. Nie obchodzi go, co robi, jak dobrze, ani z kim. Dziesięć lat temu sprawiła mu wielki ból i nie chce mieć z nią więcej nic wspólnego. Albo Curt weźmie innego detektywa do jego sprawy, albo on znajdzie sobie innego adwokata. Proste.

A w każdym razie takie powinno być.

Kiedy pod wieczór przygotowywał sobie kolację, myślał tylko i wyłącznie o adresie, który napisała mu na wizytówce. Nie był najciekawszy. Wręcz bardzo nieciekawym - w dzielnicy o najwyższej liczbie przestępstw w mieście.

Kobieta nie powinna bywać tam sama, szczególnie wieczorem.

Niepokoiliła go ta myśl, a wizytówka paliła w kieszeni. Powinien wyrzucić ją, jak tylko mu ją dała, ale coś go powstrzymało, coś, czego wolał zbyt dokładnie nie analizować. Zoe na pewno jest ostrożna i umie sobie dawać radę. W wieku osiemnastu lat była szalona i impulsywna, ale od tamtej pory na pewno wydorosłała.

A jeśli nie?

Wrzucił hamburgera, którego kupił na kolację, do lodówki i klnąc cały czas pod nosem, chwycił kluczyki od auta.

Pół godziny później wjeżdżał na wyboisty parking przed lokalem, którego adres podała mu Zoe. Przypominał starą spelunę z Dzikiego Zachodu i kiedyś pewnie był nawet ładny,

teraz jednak swe najlepsze czasy dawno miał za sobą. Zamalowane czarną farbą okna, zapadnięty ganek i ledwo widoczny neon nie wyglądały zachęcająco. Wyglądał jak mordownia i ciche miejsce schadzek. W takich miejscach mężczyzna bywa tylko w dwóch celach - żeby upić się na umór albo poderwać jakąś cizię. Tam właśnie była Zoe. Z głośnym przekleństwem wyskoczył z auta.

Wewnątrz było dokładnie tak, jak podejrzewał, albo nawet jeszcze gorzej. Od razu zauważył przytłumione światło, bar otoczony wianuszkami podpitych mężczyzn, poczuł ciężkie od dymu papierosowego powietrze. Z grającej szafy zmysłowy, kobiecy głos śpiewał rozdzierającą serce piosenkę o mężczyźnie, który zdradził ją z jej najlepszą przyjaciółką. Słowa ginęły jednak w wybuchającym co chwilę pijackim śmiechu i przekleństwach, dobiegających od strony stojącego w kącie sali bilardu.

Ale to nie gra ani inni goście lokalu zwrócili jego uwagę, lecz kobieta stojąca po przeciwnej stronie długiego, zniszczonego baru, ukryta w półcieniu. Kobieta, która nie zauważyła jego wejścia, bo flirtowała z jakimś lalusiem, który chciał postawić jej drinka.

Zoe.

Na pierwszy rzut oka wydawała się ubrana zupełnie niewinnie - w kowbojki, džinsy i prostą, białą koszulę - chłopkę, mimo że na dworze był mróz. Dopiero gdy przyjrzał się dokładniej, pomyślał, że padnie. Cholera, co ona wyprawia?

To nie była już ta kobieta, z którą pokłócił się w biurze Curta. Tamta Zoe była mu dobrze znana - zwyczajna dziewczyna z dumnie uniesioną brodą, zadartym piegopatym nosem i dołeczkami w policzkach. Ta, którą miał przed sobą, była kimś zupełnie innym.

Ubrana była tak, jakby wybierała się na podryw albo wręcz do pracy na ulicę. Jej dzinsy były tak obcisłe, że chyba wkładała je na mokro, podkreślały krągłą pupę i biodra, a przede wszystkim przyciągały spojrzenia wszystkich mężczyzn. Jeśli taki był jej zamiar, posunęła się nawet dalej. Ciemne, kręcone włosy upięła w artystycznie niedbały kok, a bluzkę, rozpiętą prawie do pępka, zsunęła z ramion.

Kiedy zauważył, że stojący obok niej facet maślanym wzrokiem wpatruje się w jej dekolt, automatycznie ruszył w ich stronę i zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy uświadomił sobie, co robi. To nie jest jego kobieta! Nie musi jej bronić, chronić ani się nią opiekować. I całe szczęście! Jeśli ściągnęła go tu po to, żeby obudzić w nim dawne uczucia, to traci tylko czas. Nie ma nic bardziej martwego niż stara miłość.

Jakoś udało mu się oderwać od niej wzrok, wśliznął się więc na wolne miejsce przy barze.

- Piwo - zażądał ostro. - I to szybko.

Mimo że na pół odwrócona od drzwi, Zoe od razu wyczuła, kiedy Jake wszedł do baru. Zawdzięczała to systemowi wczesnego ostrzegania, który w odniesieniu do niego zawsze działał bez zarzutu. Ze złości na siebie aż zmrużyła oczy. Po tak długim czasie nie powinna być już tak na niego uwrażliwiona!

Czuła na plecach jego świdrujące spojrzenie, ale nawet mrugnięciem oka nie dała tego po sobie poznać. Pamiętając, po co tu jest, uśmiechnęła się zalotnie do stojącego obok mężczyzny.

Wysoki, z blond włosami i zniewalającym uśmiechem, Steve Ponders był diabelnie przystojny. Ledwo tylko weszła do baru, zajął się nią i od piętnastu minut żartował i flirtował, sprawiając, że czuła się jedyną i wyjątkową. Oczywiście nie wspomniał, że jest żonaty, ale to wiedziała już wcześniej. Przysłała ją tu jego żona, by zdobyła dowody zdrady.

Z miniaturowym magnetofonem ukrytym w torebce, tęsknie spojrzała na niewielki krąg pośrodku lokalu, służący za parkiet do tańca.

- Słyszałam, że można tu potańczyć, ale jakoś nikt się nie kwapi. Chętnie pokręciłabym się trochę z wysokim, silnym kowbojem, który wie, jak traktować damę. O, słyszysz? Śpiewa Paul McCartney. - Westchnęła rozmarzona. - Uwielbiam go, a ty? Kiedy słyszę którąś z jego piosenek, zaczynam marzyć o męskich ramionach.

Steve Ponders wyraźnie się wahał. Patrzył to na parkiet, to na drzwi do baru. Mruknął coś pod nosem, przesunął palcem po jej nagim ramieniu i namiętnie spojrzął w oczy.

- Chętnie bym z tobą zatańczył, kotku. Zobaczyłabyś, co naprawdę znaczą męskie ramiona.

- Ale? Chcesz powiedzieć, że jest jakieś „ale”? - Rozszczebiotana Zoe nie wypadła z roli. - O co chodzi? Nie umiesz tańczyć? Chętnie cię nauczę.

- Na pewno wzajemnie moglibyśmy nauczyć się wielu rzeczy - odparł. - Ale... jestem z kimś umówiony.

Zoe z ogromnym trudem ukryła satysfakcję. Musiała przecież udawać zranioną.

- Szkoda, że nie powiedziałaś tego od razu. Myślałam, że ci się podobam.

- Ależ podobasz! Już dawno nie spotkałem takiej gorącej kobitki, ale tak się składa, że przyjaciel umówił mnie tu ze swoją kuzynką. Jeśli wejdzie i zobaczy nas razem, będzie awantura. Nie chcę cię na to narażać. Rozumiesz mnie, prawda?

O, pewnie, rozumiała go aż za dobrze. Wstrętny krętacz! Nic dziwnego, że jego biedna żona chce rozwodu.

- No, tak - powiedziała, ukrywając głęboką niechęć. - Nie chcę, żeby twój przyjaciel miał do ciebie pretensje.

Ponders uśmiechnął się z ulgą i przesunął palcem po dekolcie jej bluzki. Był tak pewny siebie, że nie zauważył, że jej dreszcz był dreszczem odrazy, a nie podniecenia.

- Wiedziałem, że jesteś słodka. Spotkajmy się tu jutro wieczorem. Tylko ty i ja. - Ponad jej ramieniem dostrzegł wchodzącą kobietę i zaklął pod nosem. - O cholera! Już jest. Muszę iść. Będziesz tu jutro czy nie?

- Och, będę - skłamała przez zęby. - Będę na pewno.

- W porządku. No to do zobaczenia. - Mężczyzna już był skoncentrowany na nowo przybyłej.

Z trudem kryjąc podekscytowanie, Zoe zaczęła, aż odejdzie, sięgnęła do torebki, by wyłączyć magnetofon. Dopiero wtedy odwróciła się, żeby poszukać Jake'a.

Był dokładnie tam, gdzie podejrzewała - po przeciwnej stronie baru, z kuflem piwa w ręku i spojrzeniem utkwionym prosto w nią. Nawet z tej odległości widziała, że jest wściekły. Zebrała się jednak na odwagę i ruszyła ku niemu. Na szczęście miejsce obok niego było wolne.

- Cześć, nieznajomy. Postawić ci piwo?



## ROZDZIAŁ DRUGI

Jake ocknął się i utkwiał oczy w kuflu. Każdym nerwem swego ciała czuł siedzącą tuż obok kobietę. Docierał do niego delikatny zapach jej perfum, tak dobrze znany z przeszłości. Przypominał mu chwile, kiedy nie miała na sobie nic oprócz tych właśnie perfum. Dziesięć lat, pomyślał ze złością. Minęło dziesięć lat, a on nadal czuł jej ciało, jej smak. Dlaczego?

Udał, że nie słyszy jej propozycji, i zmrużonymi oczami taksował jej ciało - wąskie biodra w ciasnych dżinsach, kołyszące się pod głęboko rozpiętą bluzką pełne piersi.

- Jeśli to miał być żart, to raczej kiepski. Wydawało mi się, że miałaś dziś wieczór pracować - mruknął przez zęby.

Zdziwiona jego ostrym tonem, Zoe uniosła brwi.

- I pracuję.

- Naprawdę? Z tym elegancikiem? - Głową wskazał mężczyznę, który razem z przybyłą kobietą siedział teraz przy stoliku po drugiej stronie sali. - Widziałem, jak się do ciebie kleił. Sądzę, że to co mówią o rozwódkach, to rzeczywiście prawda.

Ledwo wypowiedział te słowa, ugryzł się w język. Jeszcze tego brakowało, by pomyślała, że przez te lata nieustannie śledził jej losy. A było wręcz przeciwnie. Unikał jak mógł jakiegokolwiek wzmianki o niej. Ale kiedy pupilka najlepszego towarzystwa w mieście wychodzi za bogatego bankiera, niecały rok po rozstaniu z ubogim kowbojem, a niecałe dwa lata później kończy się to rozwodem, nic dziwnego, że prasa szaleje. Każdy, kto codziennie kupuje gazetę, musiał to zauważyć. On też. I jeśli o niego chodzi, mogłaby wychodzić za męża i rozwodzić się nawet codziennie.

Zoe aż zatrzęsała się z oburzenia. Jak on śmie! Tylko dlatego, że praktycznie dla niego pracuje, myśli sobie, że może ją bezkarnie obrażać? Mowy nie ma! Nie potrzebuje jego sprawy, a tym bardziej jego. Niech sobie szuka innego

detektywa. Ciekawe, czy znajdzie takiego, kto uwierzy w te absurdalne zarzuty wobec Dereka Lincolna?

Innego detektywa? Dopiero w tej chwili zrozumiała, że o to mu chodzi. Chce ją sprowokować, chce, żeby straciła nad sobą panowanie. Wtedy pójdzie sobie prosto do sądu i powie, że jest zbyt niedojrzała i za mało profesjonalna, by zająć się jego sprawą.

Zoe zacisnęła zęby i zmusiła się do uśmiechu.

- No wiesz, Jake, gdybym cię nie znała, przysięgłabym, że jesteś zazdrosny. Co ci przeszkadza, że ktoś mnie dotyka?

Tylko na moment w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk, zaraz jednak obrzucił ją od stóp do głów obojętnym spojrzeniem.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie flirtować, z kim chcesz - warknął. - Tylko nie czekaj na moje oklaski. Kończę to piwo i już mnie nie ma.

Jego ostre słowa zabolowały. Przez ułamek sekundy przeraziła się, że nadal ma nad nią władzę, że nadal jest w stanie ją zranić. Ale to przecież niemożliwe! Aż krzyknęła w duchu. Skończyła z nim raz na zawsze i to całe dziesięć lat temu. Zrozumiała, że to, co kiedyś do niego czuła, było tylko wybrykiem dorastającej panienki. Po co w ogóle się tu z nim dziś umawiała? Znała jego opinię na swój temat, a mało prawdopodobne, by ją zmienił. Nie będzie mu niczego udowadniać. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, zostawi go tu bez słowa wyjaśnienia i zapomni o całej sprawie.

Niestety, wiedziała, że nie może. Niezależnie od tego, co Jake prywatnie o niej myśli, ona jest bardzo dobrym detektywem. I niezależnie od tego, czy się do tego przyzna, czy nie, jest mu bardzo potrzebna.

- Nie mam zamiaru flirtować z nikim, prócz tego, jak go nazwałeś, elegancika. Chciałbyś może wiedzieć, dlaczego? - spytała.

Jake nie odpowiedział. Wypił swe piwo do dna i z głośnym stukiem odstawił kufel.

- Jest żonaty - ciągnęła nie zrażona Zoe. - A jeśli sam na to nie wpadłeś, ta pani, z którą siedzi, nie jest bynajmniej jego żoną. Tamta jest w domu z trójką dzieci i czeka, aż zdobęde dowody zdrady.

Postawiła swą torebkę obok jego pustego kufla i skierowała ją w stronę stolika, przy którym siedziała wspomniana para. Zręcznym ruchem sięgnęła do kablek, który wystawał z wnętrza i raz go przycisnęła.

- Prawda, że są bardzo fotogeniczni? - spytała z pełnym satysfakcji uśmiechem. - Mam tylko nadzieję, że światło jest wystarczające.

Z zadowoleniem stwierdziła, że Jake patrzy teraz na nią z podziwem.

- Chcesz powiedzieć, że masz tu aparat fotograficzny? - spytał z niedowierzaniem.

- Aparat i magnetofon. To zdjęcie plus rozmowa, którą nagrałam wcześniej, wystarczą, by załatwić elegancika. Wspaniałe są te nowe wynalazki, prawda?

No dobrze, przyznał w duchu Jake. Ale przecież nie trzeba być mistrzem, żeby przyłapać niewiernego męża.

- Elegancik to nie Derek Lincoln - rzekł, sięgając po portfel. - Na niego nie wystarczą obcisłe džinsy i technika.

A więc taką ma o niej opinię. Rozpieszczona córeczka burmistrza i jej zabaweczki. Czując, że za chwilę straci swą szansę, Zoe chwyciła się ostatniej deski ratunku.

- Jesteś niemożliwy! Mogłabym ci pomóc, a ty nawet nie chcesz dać mi szansy. Cały czas myślisz o przeszłości.

Dopiero teraz, widząc zaciekawione spojrzenia, uświadomiła sobie, że prawie krzyczy. A niech go diabli! Wciąż wie, jak doprowadzić ją do tego, by się zapomniała.

- Nie jestem już tamtą zwariowaną osiemnastką, która straciła dla ciebie głowę. Jestem zawodowym detektywem, i to bardzo dobrym. W dodatku obracam się w tych samych kręgach, co Lincoln.

- Ręka rękę myje - prychnął Jake. - Właśnie dlatego nie nadajesz się do tej sprawy.

Zoe aż zaklęła pod nosem. Co za kretyn!

- Jeśli jest tak, jak mówisz, i Lincoln jest winny, to czemu miałabym go bronić? Mało któremu detektywowi trafia się okazja, by przyszpilić jednego z najbardziej wpływowych ludzi w mieście. I jeśli komuś ma się to udać, to tylko mnie. Mam do niego dostęp. Znam jego znajomych i wspólników. Bywamy na tych samych przyjęciach i w tych samych klubach. Ciekawe, czy znajdziesz innego detektywa o takich koneksjach.

Nie znajdzie i oboje dobrze o tym wiedzieli. Patrząc jednak w jego oczy, wiedziała, że jest tak samo niewzruszony, jak w gabinecie Curta. Rozczarowana i, o dziwo, urażona, spuściła wzrok.

- Widzę, że tracimy czas. Dajmy sobie spokój.

Była już przy drzwiach i zdejmowała z wieszaka kurtkę, kiedy poczuła, że stoi tuż za nią. Kiedy szarpnął ją za rękę, zaklęła pod nosem i odwróciła się gwałtownie.

- Jake, ja dobrze wiem...

Ale zamiast Jake'a stanęła twarzą w twarz z jakimś nieznajomym. Bardzo pijanym nieznajomym. Metr osiemdziesiąt, spocony, z błyszczącymi, mętnymi oczami, uśmiechał się do niej głupkowato.

- Ejże, słoneczko! A dokąd to się wybieramy?

Jeszcze tego jej brakowało! Zoe zmusiła się do uśmiechu i próbowała oderwać tłuste paluchy zaciśnięte na swym ramieniu.

- Muszę już iść - powiedziała przez zęby. - Proszę mnie puścić.

Mężczyzna nie rezygnował.

- Nie ma mowy, laleczko. Nigdzie nie pójdziesz. Zabawiałaś się tu ze wszystkimi oprócz mnie. Teraz moja kolej - domagał się z pijackim uporem.

Dopiero w tej chwili Jake zauważył, co się dzieje. Na widok ręki innego mężczyzny na ramieniu Zoe aż zeszywniał. Zerwał się na nogi. Wiedział, że tak się to skończy. W pełnym mężczyźni barze kobieta ubrana tak jak ona nie mogła wywołać innej reakcji. Jak tylko wyrwie ją z rąk tego pijaka, powie jej to prosto w oczy.

Już szykował się do akcji, kiedy Zoe szeptem powiedziała coś atakującemu ją mężczyźnie. Facet zbladł i odskoczył jak oparzony, a ona spokojnie włożyła kurtkę i dumnym krokiem wyszła z baru.

- Ale numer - mruknął Jake i ruszył za nią.

Na zapchanym półciężarówkami parkingu było ciemno i dopiero po chwili dostrzegł Zoe, zbliżającą się do starego forda, którym, jak mu wcześniej mówiła, jeździła do pracy. Wyglądał jeszcze gorzej, niż się spodziewał. Wszystko w nim trzymało się chyba tylko na słowo honoru. Dawniej nigdy nie spojrzalaby nawet na coś takiego.

Dogonił ją, kiedy otwierała już drzwi. Był pewien, że go słyszy, więc zdziwił się, kiedy na dźwięk jego zbliżających się kroków odwróciła się przerażona, ale od razu gotowa do odparcia ewentualnego ataku.

- Spokojnie! - krzyknął i podniósł ręce do góry, na wypadek gdyby okazało się, że w torebce oprócz aparatu i magnetofonu ma także pistolet. - To tylko ja.

- Jake! - Zoe odetchnęła z wyraźną ulgą. - Dlaczego się nie odezwałeś? Myślałam, że...

- Widziałem, jak ten facet cię zaczepiał. Wszystko w porządku?

A więc nie poszedł za nią dlatego, że zmienił zdanie.

- W porządku - odparła chłodno. - Sama umiem się obronić.

- Zauważyłem. Coś ty takiego powiedziała temu potworowi? Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Wiedział, że powinien się wycofać. Już raz uległ jej czarowi. Jeden raz za dużo. Coś jednak nadal go w niej pociągało.

- Nie wygłupiaj się, Zoe - powiedział, kiedy w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. - Przecież ten facet omal nie umarł ze strachu. Co mu powiedziałaś?

- Nic szczególnego. Naprawdę. Tylko tyle, że pracuję w kontroli podatkowej i że jeśli natychmiast mnie nie puści, będzie miał kłopoty.

- I uwierzył ci? Przecież nawet nie znasz jego nazwiska!

- Był zbyt pijany, by zdać sobie z tego sprawę.

- A gdyby nie był?

- Wymyśliłabym coś innego.

Patrząc tak na nią w ciemności, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Pamiętał, jak jest inteligentna i bystra. Ważne cechy dla prywatnego detektywa.

- Chyba powinienem cię przeprosić.

Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała.

- Słucham?

- Przecież słyszałaś. Nie miałem racji mówiąc, że traktujesz swoje zajęcie jak zabawę. Znasz się na tym, co robisz, i umiesz się bronić. Potraktowałaś elegancika i pijaczka jak zawodowca.

Słyszając ten niespodziewany komplement, Zoe zarumieniła się. Serce zaczęło jej szybciej bić.

- Czy to znaczy, że nie będziesz się domagał od Curta, żeby dał ci jakiegoś innego detektywa? Nadal mam tę robotę?

Jake wahał się. Ostatni raz, kiedy miał z nią do czynienia, jej impulsywna szczodrość działała na jego dumę jak alkohol na świeżą ranę. Próbował przekonywać samego siebie, że jest młoda i dlatego trochę bezmyślna, i że właśnie to otwarte serce szczególnie mu się w niej podoba. Ale każdy mężczyzna, żeby móc coś brać od kobiety, musi być także w stanie jej się rewanzować. A on nie miał wtedy nic do dania. Nadal nie ma nic oprócz kłopotów. Jeszcze jej mu brakowało.

Z drugiej jednak strony wiedział, że Curt nie zleciłby Zoe jego sprawy, gdyby nie była wybitnym detektywem. W dodatku ona rzeczywiście ma dojścia do Lincolna, jakimi nie poszczyci się żaden detektyw w mieście.

Wiedział, że popełnia błąd, ale nie mógł się jednak powstrzymać i skinął głową.

- Zadzwoń rano do Curta i powiem, że nie musi szukać innego detektywa.

Dopiero w tej chwili Zoe zrozumiała, jak bardzo chciała dostać tę sprawę. Odetchnęła z ulgą i już chciała go uściskać... powstrzymała się w ostatnim momencie. Na Boga, przecież ten facet złamał jej serce. Opuściła ramiona i modliła się w duchu, by nie zauważył rumieńca na jej twarzy.

- Z... z... z samego rana biorę się do roboty.

Jake oczywiście zauważył jej ruch w jego stronę i nagłą zmianę. Zawsze lubiła się tulić... jej uściski były równie spontaniczne jak uśmiechy. To, co miał za chwilę zrobić, uznał więc za totalnie idiotyczne. Tak postąpiłby jednak z każdym detektywem, który zająłby się jego sprawą. Nie mógł robić wyjątku dla Zoe tylko dlatego, że, jak się okazało, jego uczucia do niej niezupełnie wygasły.

- Jest jeszcze jedna sprawa - rzekł tak chłodno, jak tylko potrafił. - Zamierzam osobiście przyłożyć rękę do wsadzenia Lincolna do paki, więc będę pracował razem z tobą.

Gdyby powiedział, że chce się z nią kochać, nie byłaby bardziej zaskoczona.

- Co? Ale...

- Żadne „ale”. To moje życie. Nie będę stał z rękami w kieszeniach i patrzył, jak ktoś przejmuje kontrolę nad całą moją przyszłością.

- Ale przecież ty się zupełnie na tym nie znasz - zaprotestowała. - To nie jest tak, jak w filmach, no wiesz, że choćbyś dostał kulkę w plecy, zawsze sobie poradzisz.

On też znakomicie zdawał sobie z tego sprawę, ale miał zbyt wiele do stracenia, by zostawić wszystko w jej rękach.

- Jeśli boisz się, że zechcę przejąć całą sprawę, to niepotrzebnie. Będę tylko twoim pomocnikiem, dodatkową parą oczu. Zresztą na torze i tak będę ci potrzebny. Świat wyścigów konnych jest tak samo hermetyczny, jak znane ci wyższe sfery. Beze mnie nigdzie nie dotrzesz.

Zoe zdawała sobie sprawę, że podporządkowanie się jemu będzie nierozsądne. Musiało minąć wiele lat, żeby przestała o nim myśleć i szukać go w każdym napotkanym mężczyźnie. Najgorsze były noce! Długie, bezsenne, samotne noce tęsknoty za jego ciałem i pieszczotami...

Drugi raz tego nie zniesie. Nie zgodzi się na jego powrót do swego życia, swych myśli, swych snów, bo to dokładnie oznaczałaby wspólna praca. Zbada dla niego sprawę Lincolna i zda sprawozdanie Curtowi, ale to wszystko. Przecież nawet teraz nie potrafią się nie kłócić, nie obrażać, nie ranić. Jak mogliby razem pracować?

- Nic z tego nie będzie - pokręciła głową. - Zawsze pracuję sama.

Jake zmrużył oczy i spojrzał na nią z rozbawieniem.



- Czyżbyś się bała, maleńka?

Wiedziała, do czego zmierza, ale mimo to dała się złapać. Z pełną świadomością połknęła haczyk.

- Niby czego?

- Mnie. Tego, co kiedyś nas łączyło. Jeśli boisz się, że nie potrafisz trzymać swych pięknych rączek z daleka ode mnie, to po prostu powiedz.

- Chyba śnisz - warknęła. - W ogóle mi na tobie nie zależy. Od lat ani razu o tobie nie pomyślałam.

- No, to nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy razem pracowali - rozpromienił się Jake.

Była więc już w pułapce i oboje dobrze o tym wiedzieli. Zbił wszystkie jej argumenty. Gdyby nadal odmawiała współpracy, mógłby pójść do Curta i domagać się innego detektywa. A do tego nie mogła dopuścić. Czy jej się to podoba, czy nie.

- Niech ci będzie. Widzę, że nie mam wyboru. Ale radzę, żebyś nie wchodził mi w drogę - ostrzegła. - Zgadzam się, że co dwie głowy, to nie jedna, ale dowodzić może tylko jedno z nas. Ja. Zrozumiałeś?

- Chyba wyraziłem się jasno. Będę ci tylko pomagał. Akurat, zaśmiała się w duchu. Przemądrzały, arogancki, pewny siebie Jake Knight miałby słuchać czyichś rozkazów? Nigdy w życiu.

- Gdybym cię nie znała, mogłabym uwierzyć - prychnęła. - Ale pamiętaj - to moja robota, a ja znam swój fach. Może nawet uratuję ci tę twoją głowę.

Kilka godzin później wsunęła się pod prześcieradło i zgasiła światło. O spaniu nie było mowy. Gdyby jeszcze wczoraj ktoś powiedział jej, że nie tylko spotka dziś Jake'a ale będzie z nim pracować, uznałaby go za wariata. Teraz jednak musiała pogodzić się z tym, co stało się faktem. Może zresztą nie będzie tak źle. Nie jest już osiemnastoletnią trzpiotką. Ma

swój rozum i już nigdy nie odda swego serca niewłaściwemu mężczyźnie, nie pozwoli, by ją ranił.

A już na pewno nie Jake'owi Knightowi!

Zadowolona i pewna, że da sobie radę ze wszystkim, co on może trzymać w zanadrzu, wtuliła się w poduszkę i po chwili zasnęła.

Ale i we śnie nie była sama. Jake, taki, jakim był kiedyś, taki, jaki jest teraz, nie opuścił jej ani na chwilę. Tonęła w jego ramionach, czuła ciepło jego ciała, jego gorące, namiętne pocałunki, jego...

Obudził ją telefon. Wciąż drżącą sięgnęła po słuchawkę.

- Hmm?

- Zoe? To ty, kotku? - spytał niepewnie ojciec. - Spałaś? O nie, nie teraz, tato, jęknęła w duchu. Potrząsnęła jednak głową, przetarła oczy i jakoś zmusiła się do rozmowy.

- Przecież wiesz, że rano zawsze jestem nieprzytomna. Pracowałam do późna i jakoś nie mogę się zebrać. Co się stało? Rzadko dzwonisz tak wcześnie.

Ojciec przez chwilę się wahał, chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

- Dzwonię tylko, żeby zapytać, jak się czujesz, bo nie widzieliśmy się wczoraj, kiedy wpadłaś na śniadanie. Pewnie nie widziałaś jeszcze porannej gazety - dodał obojętnym tonem. Zbyt obojętnym.

Zoe poczuła nagły skurcz w żołądku. A przecież nie było ku temu powodu...

- Nie, rzeczywiście. A co tam ciekawego? Jakiś nowy skandal w policji?

- Curt Elliot reprezentuje Jake'a Knighta. Wydał dziś rano oświadczenie, że zrobi wszystko, żeby udowodnić, że jego klienta wrobiono. Wiedziałaś o tym?

Nie podobał jej się ten ton. Jeszcze nie minęły dwadzieścia cztery godziny od jej pierwszego po dziesięciu latach spotkania z Jake'em, a już są problemy.

- Dowiedziałam się wczoraj - odparła uspokajająco.

- Tato, niepotrzebnie się denerwujesz.

- Niepotrzebnie! - Starszy pan już zupełnie nad sobą nie panował. - Chyba żartujesz! Ten człowiek zrobił z twego życia piekło. Chyba nie masz zamiaru znów się z nim wiązać?

- Wzięłam tylko jego sprawę - zauważyła chłodno.

- Też mnie to nie zachwyca, ale przecież nie uciekam z nim na Haiti. Po prostu przez jakiś czas będziemy razem pracować. To nic wielkiego.

- Nic wielkiego! - powtórzył jak echo Murdock. - Co ty wygadujesz! To, co ten człowiek plecie o Dereku Lincolnie, to same bzdury! Sam prosi, żeby oskarżyć go o zniesławienie.

- A jeśli to nie są kłamstwa, tato? - spytała cicho Zoe. - Owszem, Jake mnie skrzywdził, ale nigdy nie oszukał. A jeśli mówi prawdę? Czy to takie niemożliwe?

- Owszem, bo na kozła ofiarnego wybrał sobie jednego z najbardziej wpływowych ludzi w mieście - odparował ojciec. - To idiotyczne! Znam Dereka od trzydziestu lat i wiem, że tak samo jak ja nigdy nie wplątałby się w coś takiego.

Zoe zawsze była córeczką tatusia. Ufała mu bezgranicznie, a on nigdy jej nie zawiódł. A kiedy w jej życiu pojawił się Jake, czuła się rozdarta między dwoma mężczyznami, których kochała nad życie, a którzy ze sobą nie mogli się zgodzić, nawet co do ceny codziennej gazety. Broniała jednego przed drugim, próbowała godzić i uspokajać. Cierpiała wtedy i czuła, że cierpieć będzie także teraz.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Zoe? Mówi Alice. Jesteś już? Pewnie nie. Posłuchaj, strasznie mi przykro, ale Peter złapał wirusa żołądka, a bliźniaki też są jakieś niewyraźne. Bob wyjechał służbowo, więc muszę zostać w domu. Biedne maluchy, są takie osłabione. Mam nadzieję, że do końca tygodnia wszystko się skończy, ale wiesz, jak to jest. Żebym tylko ja tego od nich nie złapała. Jeszcze raz przepraszam.

Zoe usiadła w fotelu za biurkiem i słuchała ostatniej wiadomości na swej automatycznej sekretarce. Wysoki głos sekretarki wibrował w ciszy gabinetu. Super, pomyślała, trąc głowę, którą od rana rozsadzał ból. Najpierw ten niepokojący sen o Jake'u, potem rozmowa z ojcem, a teraz to. Co jeszcze?

Zanim sformułowała to pytanie, odezwał się dzwonek u drzwi. Podniosła wzrok i w drzwiach ujrzała wysokiego, szczupłego mężczyznę, który wszedł energicznym krokiem. Jake. Mogła się domyślić.

Na jego widok serce zaczęło jej szybciej bić. Owszem, spodziewała się go dzisiaj, ale nie tak wcześnie - kiedy jeszcze tak świeże są w niej obrazy ze snu. Nie była jeszcze gotowa na to spotkanie. Nie mogła spojrzeć mu w oczy, skoro wciąż czuła na sobie jego ręce, jego zapach...

Uspokój się, Murdock! rozkazał głos rozsądku. Rumienisz się pod każdym jego spojrzeniem i jeszcze sobie pomyśli, że wciąż się w nim bujasz.

Przerażona tą możliwością, zerwała się na nogi. Gdyby się dowiedział, że myśli o nim, że o nim śni, chyba by umarła!

- Dzień dobry - powiedziała sucho. - Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie. Wejdz.

Był równie obcesowy jak ona i równie chłodny.

- Lincoln złożył wszystkie niezbędne papiery, więc rozprawa może się odbyć już za kilka tygodni - wyjaśnił, wchodząc do środka. - Nie mamy ani chwili do stracenia.

Stanął przy jej biurku i ze zdziwieniem rozejrzał się po spartańskim wnętrzu. Od razu domyśliła się, o co chodzi. Spodziewał się eleganckiego gabinetu, urządzonego przez jakiegoś wziętego projektanta. Ona jednak wynajęła coś niewiele większego od spiżarni. Nie było tam żadnego dywanu, antyków ani drogich bibelotów. Biurko, które jakoś udało jej się tam wcisnąć, znalazła na pchlim targu. Teraz stał na nim komputer i wały się sterty papierów. Na metalowym regale stał mały telewizor i magnetowid, segregatory i kolekcja peruk. Nie tego się pewnie spodziewał po ukochanej córeczce burmistrza.

Nie mógł, oczywiście, wiedzieć, że woli wydawać pieniądze na różne drogie zabawki niezbędne w dzisiejszych czasach dla dobrego detektywa. Dzięki komputerowi miała dostęp do wszelkich potrzebnych informacji na wyciągnięcie ręki. A w szafie kryła się kolekcja różnego rodzaju miniaturowych aparatów fotograficznych i lunet, a także magnetofony i elektroniczne aparaty podsłuchowe.

- Jestem dziś trochę opóźniona z robotą - powiedziała, wskazując mu jedno z krzesel. - Moja sekretarka nie przyjdzie, jej dzieciaki złapały grypę, więc wszystko na mojej głowie. Nawet jeszcze nie zrobiłam sobie kawy. Napijesz się? To potrwa tylko chwilę.

Zdawała sobie sprawę, że idiotycznie papie, ale jakoś nie mogła przestać. Przekonywała samą siebie, że to tylko klient i że tak właśnie powinna go traktować. Ale do tej pory żaden klient tak na nią nie działał. Nie przyprawiał jej o suchość w gardle i oszalałe bicie serca. Nie pojawiał się w jej snach i nie budził wspomnień.

- Nie, dzięki - odparł. - Bierzmy się do pracy.

Zoe z żalem spojrzała na ekspres do kawy i z rezygnacją sięgnęła po notes i długopis.

- Przeczytałam raport policyjny, ale chcę usłyszeć twoją wersję - co robiłeś tamtego dnia na wyścigach, co się stało, kiedy znaleziono środki dopingujące w boksie konia Lincoln, nazwiska ewentualnych świadków...

- To Lincoln jest tu winny - przerwał jej ostro Jake. - Wokół niego powinno się koncentrować śledztwo.

- Wiem, że uważasz...

- To nie jest kwestia uważania. Ten skurczybyk jest winny. Bez dwóch zdań.

- Możliwe, ale...

- Żadne ale...

Zoe na próżno próbowała zapanować nad nerwami. Kto tu w końcu rządzi?

- Wiedziałam, że tak będzie - warknęła, rzucając długopis. - Całe to wczorajsze gadanie, że będziesz tylko pomocnikiem, to bzdura! Nie pozwolisz, żeby ktokolwiek mówił ci, co masz robić, nawet jeśli od tego zależy może twoje życie! Do jasnej cholery, Jake, kto tu jest detektywem, ty czy ja?

- Ty, ale...

- To dlaczego nie pozwalasz mi robić tego, za co mi płacą? Uwierz mi, ja naprawdę wiem, co robię. Jeśli rzucisz się na Lincoln nie przygotowany, zawalisz całą sprawę. Musimy zacząć od nowa - od toru wyścigowego.

Akurat! Wcale nie zależy jej na nim, tylko na Lincolnie. To jego chce chronić, kumpla swego ukochanego tatusia.

- Nadal nie wierzysz, że mnie wrobił, prawda? - spytał ostro, wpatrując się w nią lodowatym spojrzeniem. - O to tu chodzi. Nie chcesz zajmować się tym draniem, bo uważasz, że to strata czasu.

Jego oskarżenie i ton, jakim zostało wypowiedziane, sprawiły jej przykrość. Dużo większą, niż mogłaby się spodziewać. Przerazona poczuła napływające do oczu łzy i

powstrzymała je szybkim mruganiem. Nie. Już w przeszłości mocno ją zranił. Nigdy więcej na to nie pozwoli - ani jemu, ani nikomu innemu!

Wstała zza biurka i spojrzała mu prosto w oczy.

- Gdyby ktokolwiek inny zarzucił mi coś takiego, wyrzuciłabym go za drzwi - oznajmiła. - Wszystko jedno, czy wrobił cię Lincoln, prezydent Stanów Zjednoczonych czy pierwszy lepszy lump z ulicy, zdobędę dowody, które oczyszczą twoje dobre imię. Ale zrobię to po swojemu, a nie tak, jak mi każesz ty.

- A jeśli twój sposób mi się nie podoba?

- To idź sobie do domu i nie przeszkadzaj mi. Albo albo, Jake. Jeśli masz zamiar przez całe śledztwo kwestionować moje motywacje, to lepiej zrezygnujmy już teraz. W ten sposób nie mogę pracować. I nie będę. Albo mi zaufasz, albo nie.

Przez zmrużone oczy obserwował jej płonące policzki, zaciśnięte usta i zdecydowaną postawę. A w duchu widział te same usta rozchylające się do pocałunku, tę samą skórę zarumienioną od namiętności, to samo ciało poddające się pieścizotom jego rąk. Kiedy uświadomił sobie, co robi, zaklął pod nosem, zły na siebie i na nią. Niech się wypcha. Poradzi sobie i bez niej.

Już otwierał usta, by powiedzieć, że zrywa umowę, którą tak nierozsądnie zawarł z nią poprzedniego wieczora, kiedy coś - instynkt samozachowawczy, a może intuicja - ostrzegły go, że popełni błąd życia. Zawahał się i po chwili musiał przyznać, że jest może uparta i rozpieszczona, ale zawsze umie postawić na swoim. We wszystko, co robi, wkłada całą swoją energię - czy jest to gotowanie siedmiodaniowego posiłku, praca czy uprawianie miłości. Jeśli powiedziała, że oczyści jego imię, to nie spocznie, aż znajdzie odpowiedni sposób, by spełnić tę obietnicę.

- To nie o to chodzi, że ci nie ufam - rzekł z rezygnacją. - To mój los jest zagrożony, nie twój. Jeśli choć trochę dasz się zwieść Lincolnowi, zapłacę za to ja.

Ostatecznie mogła uznać to za okazanie jej zaufania. Spokojniejsza już, usiadła w fotelu.

- Możesz być pewien, że cały czas będę to miała na względzie - odparła cicho. Nachyliła się do dolnej szuflady i wyjęła z niej torebkę. - No to chodź, pojedziemy na tor. Po drodze opowiesz mi po kolei, co się zdarzyło.

Poszedł za nią, bo nie dała mu wyboru, ale zrobił to niezbyt chętnie. Choć wiedział, że nie zrobił niczego złego, wciąż miał w pamięci upokorzenie, jakiego doznał na Bandera Downs. Od tamtej pory, ilekroć mijał bramy toru, czuł bolesny skurcz w żołądku. I choćby za to Lincoln musi mu zapłacić. Do tamtego fatalnego dnia czuł się na Banderze jak w domu. Jak na żadnym innym torze.

- Moim zdaniem to strata czasu - rzekł, kiedy szli na parking. - Komisja wyścigów przesłuchała wszystkich obecnych tamtego dnia. Nikt niczego nie widział.

Nie zrażona Zoe nawet nie zwolniła kroku.

- Chcę sama zobaczyć to miejsce, poczuć jego atmosferę, zadać kilka pytań. Nie musisz mi towarzyszyć, jeśli masz coś innego do roboty.

Nie miał i oboje o tym wiedzieli. Z powodu oskarżeń Lincolnna jego interes zamarł.

- Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Jedyne co mam do roboty, to przybić nędzne ciało Lincolnna do drzwi sądu.

Kiedy stanęli przy starym fordzie Zoe, Jake zmarszczył brwi.

- Chyba nie zamierzasz tym wrakiem wybrać się za miasto, prawda?

Był tak poważnie zaniepokojony, że aż się roześmiała.



- On tylko tak kiepsko wygląda. Ogrzewanie co prawda wysiadło, ale reszta jest w porządku.

- Możliwe, ale wolałbym nie ryzykować. Pojedźmy moim pikapem.

Kusiło ją, by zaprotestować, wolałaby mieć swoje cztery kółka, ale Jake znał drogę, a podróż, bez ogrzewania nawet tak krótka, nie była najlepszym pomysłem.

- Dobrze. Będę się mogła skupić na pytaniach, które muszę ci zadać.

Choć o cztery lata młodszy, pikap Jake'a okazał się równie zdezelowany jak jej ford.

- To takiego typu autem Lincoln miał ukraść konia? - spytała z niedowierzaniem. - Myślałam, że masz dwuletniego chevroleta.

- Miałem - odparł krótko. - Sprzedałem go.

Nic więcej nie wyjaśnił, ale widząc w jego oczach urażoną dumę, Zoe miała już jasny obraz sytuacji. Oskarżenia Lincolna zniszczyły jego firmę. Nawet na opłaty torowe nie będzie go stać. Bez słowa otworzyła drzwi i wsiadła do dziesięcioletniego auta.

Natychmiast poczuła dobrze jej znane zapachy. Old Spice, skóra siodeł, kurz z toru wyścigowego. Nieświadomie wciągnęła powietrze i znalazła się w czasach, kiedy po raz pierwszy poznawała smak miłości i namiętności w takim właśnie samochodzie. Wystarczyło, by zamknęła oczy...

Nie, nie. Co jej wpadło do głowy, że się na to zgodziła? zastanawiała się za późno. Nie pomyślała, że pracując razem z nim będzie siedzieć tak blisko niego w ciasnym wnętrzu jej czy jego auta, że będą razem jadać, przeglądać papiery i raporty sądowe, jak para detektywów, która pracuje ze sobą od lat.

Przerażała ją sama myśl o takiej bliskości.

Szybko sięgnęła po torebkę i drżącymi rękami wyjęła magnetofon. Odetchnęła z ulgą, kiedy położyła go między nimi na siedzeniu. Była to śmiechu warta bariera, ale lepsza taka niż żadna.

- A teraz opowiedz mi o wszystkim - powiedziała najspokojniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć.

Kiedy półtorej godziny później skończyła swe pytania, widać już było czerwone dachy zabudowań toru wyścigów konnych Bandera Downs. Jake powitał je westchnieniem ulgi. Od chwili kiedy opuścili jej biuro, nie pozwoliła, by rozmowa choć na moment zboczyła z tematu. Drążyła, naciskała i dopytywała się, aż czuł się jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Właściwie powinien być zadowolony. Była bardzo profesjonalna i traktowała go bez wątpienia jak innych swych klientów. Jednak z jakiegoś trudnego do wyjaśnienia powodu strasznie go to irytowało.

Niemniej widać było, że kobieta zna się na rzeczy. Jak pies myśliwski, który złapał trop, pytała i pytała nie zrażona, aż zdobyła wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły. Nic nie było dla niej nieważne. Już nawet nie pamiętał, ile razy odmalował jej scenę sprzed sześciu tygodni, kiedy to przyłapał Lincolna, jak wstrzykuje swemu własnemu koniowi nielegalny środek dopingujący, tuż przed gonitwą o stawkę wynoszącą trzydzieści tysięcy dolarów. Wyjaśniła, że robi tak dlatego, że a nuż przypomni sobie jakiś szczegół, o którym poprzednio zapomniał. Tylko on wiedział, że to bez sensu, bo pamiętał wydarzenia tamtego feralnego dnia tak dokładnie, jakby zdarzyły się wczoraj.

Nawet teraz trudno mu było uwierzyć w zuchwałość Lincolna. Kiedy przyłapany został na gorącym uczynku, nawet nie mrugnął okiem. Uznał tylko, że wystarczy, by zaproponował Jake'owi pieniądze, to kupi jego milczenie i pełną współpracę. Jeszcze czego! Od razu powiedział

Lincolnowi, co myśli o nim i jego łapówce, a potem udał się, by poinformować odpowiednie organa.

To był jego pierwszy błąd - odwrócił się plecami do Lincolna i opuścił miejsce przestępstwa. Był jednak zbyt wściekły, by logicznie myśleć. Mógł się przecież spodziewać, że Derek Lincoln ze swymi pieniędzmi wywinie się z każdych tarapatów. Znalazł tylko jakiegoś posterunkowego i kiedy wrócił do stajni, w której zostawił Lincolna, ten drań już podrzucił nielegalny środek do torby Jake'a i zdążył wezwać inspektorów z komisji wyścigów. Z takimi dowodami przeciw sobie Jake nie miał szans. Lincoln bez trudu przekonał inspektorów, że Jake jest nikim, zwykłym drobnym treserem koni, żądnym sławy i pieniędzy. Ktoś taki robi wszystko, by wygrać. Nikt nie zwrócił uwagi na protesty Jake'a ani na wyjaśnienia, że to Lincoln go zrobił.

Kiedy Jake parkował przed budynkiem wyścigów, Zoe przyglądała się otwartym trybunom i rzędom stajni. Był to dzień wyścigów, więc wszędzie kręcili się ludzie.

- Weźmy średnio osiem do dziesięciu koni na bieg, których jest dziesięć, to mamy co najmniej osiemdziesiąt koni w stajniach. Dodaj trenerów, dżokejów i pomocników, nie wspominając już o właścicielach i ich rodzinach, to mamy tu niezły tłumek. Ktoś musiał coś widzieć.

Ile razy powtarzał już to zdanie? Dobre kilkanaście razy dziennie zmuszał swój mózg do wysiłku, szukając nazwiska kogoś, kto. poparłby jego wersję, ale nie znajdował żadnego.

- Tancerka, klacz Lincolna, jest dość płochliwa, więc trzymałem ją w boksie samą. Reszta koni była dwa rzędy dalej, więc w tamtym miejscu nikt nie miał powodu być. A Lincoln nie jest idiotą - dodał z goryczą. - Rozmawialiśmy najciszej, jak można. Nikt nie powinien słyszeć tej rozmowy.

- To, że nie wiesz o tym ty - sprostowała Zoe - jeszcze nie znaczy, że nie było żadnych świadków.

Rozniecała przed nim płomyk nadziei, ale jemu jakoś trudno się było na to złapać. Zawsze myślał, że ma na torze wielu przyjaciół, ale z chwilą kiedy oskarżył Lincolna, że faszeruje swego własnego konia dopingiem, poczuł się jak wyrzutek. Nie znalazł się nikt, kto poparłby go przeciw jednemu z najbardziej wpływowych ludzi w mieście.

- Ujmijmy to tak - rzekł chłodno Jake. - Jeśli ktoś nawet coś widział albo słyszał, to nie miał ochoty mówić o tym komisji wyścigów.

Nie zrażona, Zoe wyłączyła magnetofon i wrzuciła go z powrotem do torby. Otworzyła drzwi i szybko wyskoczyła z auta. Na otwartej przestrzeni od razu poczuła się pewniej.

- W tych okolicznościach to nic dziwnego - odparła, ruszając za Jake'em w stronę bramki, którą wchodzili zawsze ludzie bezpośrednio związani z końmi. - Lincoln to silny człowiek, z potężnymi koneksjami. Każdy dżokej czy pomocnik, zmuszony wybierać między wami dwoma, będzie oczywiście chronił swoją pracę i poprze Lincolna. .. publicznie - dodała z naciskiem. - To, co powiedzą prywatnie, nie policji, to już zupełnie inna para kaloszy.

Przez parę pełnych napięcia chwil nie było pewne, czy w ogóle uda jej się z kimś porozmawiać. Strażnik przy furtce nie miał obiekcji, by wpuścić na zamknięty teren stajni i toru Jake'a, bo miał on przepustkę, ale Zoe nic nie upoważniało do wejścia. Oznaczało to, że muszą przejść się do biura toru po przepustkę tymczasową. Personel był tam bardzo miły, ale Jake nie miał wątpliwości, że bez niego nic by jej się nie udało.

- Mną się nie krępuj - powiedziała Zoe, kiedy wpuszczono ich już na teren wyścigów. - Pewnie chcesz rozejrzeć się po starych śmieciach.

On tylko uśmiechnął się i był to pierwszy uśmiech, jaki widziała na jego twarzy od chwili, kiedy weszła do gabinetu

Curta i stanęła z nim twarzą w twarz. Zmysłowa siła tego uśmiechu zaparła jej dech w piersiach. Serce jej załomotało, wzrok spoczął na jego ustach. Musiała aż potrząsnąć głową, żeby wrócić do rzeczywistości.

Była na wyścigach parę razy, ale tylko w weekend, kiedy konie biegają, a trybuny pełne są podnieconych graczy. Spodziewała się, że w środku tygodnia nie będzie tam nikogo, ale pomyliła się. Tablica wyników była pusta, okienka, w których przyjmowane są zakłady, zamknięte, ale i tak wszędzie pełno było ludzi. Stajenni, dżokeje i trenerzy pracowali przy koniach, ktoś naprawiał świetlną tablicę, po trawiastej bieżni uwijali się konserwatorzy. Ze stajni dobiegało rżenie koni.

Zoe odwróciła się do Jake'a, chcąc go zapytać, czy pamięta jakichś porządkowych, kręcących się przy stajniach tamtego dnia, ale wystarczyło jedno spojrzenie na niego i straciła mowę. Jego wzrok utkwiony był w potężnym kasztanie, prowadzonym po padoku przez trenera i dżokeja.

- Za wysoko, Hawkins - mruknął pod nosem Jake.

- Za wysoko siedzisz w siodle. Czy ty się kiedyś nauczysz siedzieć na tyłku?

Zoe patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Do tej pory znakomicie ukrywał swe uczucia, myśli, nawet złość. Z chwilą jednak kiedy ujrzał tego konia, zupełnie zapomniał o jej obecności. Nigdy jeszcze nie widziała na jego twarzy takiej tęsknoty. Ani takiego bólu. Pociemniałymi oczami patrzył na to, co utracił, i nie mówił ani słowa.

Właśnie to milczenie, to jego znieruchomienie ugodziło Zoe w samo serce. Nie! Omal nie krzyknęła i gwałtownie zamrugała oczami. Nie chciała widzieć jego cierpienia ani czuć go jak własnego. To, co kiedyś ich łączyło, dawno zniknęło i nic tego nie wróci. Współczuje mu - takich

problemów nie życzyłaby najgorszemu wrogowi - ale nie będzie cierpieć razem z nim. Nie może.

Bo jeśli choć na moment straci czujność i pozwoli sobie na jakiegokolwiek uczucia do niego, choćby nawet współczucie, przepadnie z kretesem.

Z trudem oderwała od niego wzrok i spojrzała na padok. Dżokej powoli objeżdżał teraz teren dokoła, najwyraźniej studząc konia przed odprowadzeniem go do stajni. Trener szedł obok i chyba omawiał z nim wyniki treningu.

- Czy któryś z nich był tu tamtego dnia? Jej pytanie nie od razu do niego dotarło.

- Możliwe. Hawkins zdaje się miał mieć później gonitwę, ale nie jestem pewien co do Beckera. Nie pamiętam, żebym go widział, ale ten facet ma dużą stajnię. Dwa czy trzy jego konie biegają co weekend.

- Chodźmy zobaczyć, co wiedzą.

Jake ani drgnął.

- Tracisz czas, Zoe. Ci dwaj są w tym interesie od lat i wiedzą, co robić, by nie wpaść w tarapaty. Nawet jeśli zorientowali się tamtego dnia, że dzieje się coś podejrzanego, siedzieli jak myszy pod miotłą, żeby nikt ich nie zauważył.

- Nie można prowadzić śledztwa, z góry zakładając, kto może być świadkiem, a kto nie. - Zoe aż uniosła brodę. - A teraz wybacz, ale muszę zadać parę pytań.

Nie oglądając się, czy idzie za nią, ruszyła w stronę mężczyzn, którzy już zbliżali się do stajni. Pograżeni w rozmowie, zauważyli ją dopiero, kiedy stanęła przed nimi z przyjaznym uśmiechem.

- Przepraszam, panowie, że przeszkadzam, ale chciałabym was prosić o pomoc.

Tom Becker, starszy z nich, uniosł brew.

- Z przyjemnością - odparł, nie wyjmując z ust ogryzka cygara. - Ale jeśli mogę spytać, jak się pani tu dostała? Tor jest zamknięty do weekendu i tylko uprawnieni mają tu wstęp.

- Mam przepustkę. - Zoe wyjęła ją z kieszeni i pomachała im przed nosem. - W biurze toru kazali mi ją zawiesić na szyi, ale nie przypuszczałam, że ktokolwiek będzie chciał ją zobaczyć, jak już przejdę przez bramkę. Nazywam się Zoe Murdock - powiedziała i wyciągnęła rękę. - Jestem prywatnym detektywem...

Nie pozwolili jej dokończyć. Becker puścił jej rękę, jakby parzyła, a Hawkins nawet nie wyciągnął swojej.

- Przepraszam panią, ale jesteśmy zajęci - mruknął tylko i ruszył ku stajni.

- Chwileczkę! - próbowała ich zatrzymać Zoe. - To nie tak...

- Ona pracuje dla mnie - rzekł cicho Jake, który błyskawicznie, prawie bezszelestnie stanął u jej boku. - Byłbym wdzięczny, gdybyście poświęcili jej trochę czasu.

Zaskoczeni, obaj mężczyźni zatrzymali się i przez chwilę, która wydawała się wiecznością, po prostu na niego patrzyli. Kiedy już myślał, że odwrócą się i odejdą bez słowa, Tom Becker wypluł z ust cygaro, uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

- No to trzeba było mówić od razu, chłopie. Gdzieś ty się podziewał? Dawno już nie widziałem tu twojej mordy.

Jake roześmiał się z wyraźną ulgą.

- Nie chciałem wam narobić kłopotu, więc uznałem, że lepiej przez jakiś czas się tu nie pokazywać.

- Ku... - zaczął Hawkins, ale w porę przypomniał sobie o obecności Zoe. - Masz prawo tu być, jak każdy inny. Wszyscy wiedzą, że cię wrobiono.

Zoe omal nie podskoczyła z radości. Czyżby już pierwszego dnia śledztwa znaleźli coś rewelacyjnego?

- Chce pan powiedzieć, że widział Lincolna z tym dopingiem? - spytała podniecona. - Albo słyszał jego rozmowę z Jakiem? Potrzebny nam jest choć jeden świadek...

Nie dokończyła zdania, kiedy uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny.

- Żałuję, ale dowiedziałem się o tym już po wszystkim. - Spojrzał na Jake'a i bezradnie wzruszył ramionami. - Przykro mi, stary.

- Mnie też - dodał Becker. - Mój koń akurat biegł, kiedy zrobili ci to świństwo, więc byłem na torze. Ale od razu wiedziałem, że to kłamstwo. I wszyscy inni też. Tylko cholerny pech, że nikt nic nie widział.

Nie było żadnych wątpliwości co do ich uczciwości i szczerości. Jake spojrział na Zoe, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”, a potem, choć z trudem, uśmiechnął się do kolegów.

- Dzięki za poparcie, chłopaki. Jak byście coś słyszeli, dajcie mi znać.

Obiecując, że będą mieli oczy i uszy otwarte, mężczyźni zniknęli w stajni, a Jake i Zoe zostali z tym, z czym przyszli. Czyli z niczym.

- No, dobra, miałeś rację - mruknęła Zoe. - Oni nic nie widzieli. Musimy więc szukać dalej, aż znajdziemy kogoś, kto widział.

- Jak sobie życzysz, Sherlocku. Ja ci tylko pomagam.

Po upływie godziny Zoe wiedziała już, co to naprawdę jest frustracja. Wypytywała każdą napotkaną osobę i to tylko dzięki obecności Jake'a. Na niewiele się to zdało. Nikt nie widział Lincolna w stajni w dniu, kiedy Jake utracił swą reputację. Nikt nie słyszał ich kłótni. A nawet jeśli słyszał, to trzymał język za zębami.

Zoe wepchnęła ręce w kieszenie i patrzyła na puste trybuny. Trudno jej było przyznać się do porażki. Czasami



jednak lepiej się wycofać i przygotować do walki następnego dnia.

- Jakoś niewiele nam tu na razie wychodzi, więc może damy sobie na dziś spokój - powiedziała z rezygnacją.

- I co dalej? Pogrzebiemy w papierach?

- Jeśli rzeczywiście za tym wszystkim kryje się Lincoln, to musiał mieć ciężarówkę i przyczepę z wymalowanym twoim logo. Na pewno nie zrobił tego w żadnym warsztacie w okolicy. To by było zbyt ryzykowne.

- Co oznacza, że musiał mieć kogoś zaufanego, kto mu to załatwił. Pewnie kogoś ze swych pracowników, który umie trzymać język za zębami.

- Właśnie. Jak już zrobili, co było trzeba, dla zatarcia śladów zamalowali napis. I dopóki wszystko nie ucichnie, schowali pojazd w jakiejś kryjówce. A ponieważ Lincoln ma posiadłości w całym stanie, nie było to trudne.

- Co oznacza, że musimy przejrzeć wszystkie hipoteki. Nawet jeśli ziemia jest na którąś z jego firm, i tak do niego dotrzemy.

Dzisiejsze kłopoty to nic w porównaniu z tym, co ich czekało, kiedy zaczną przekopywać się przez góry papierów. Nigdy tego nie lubiła i, jeśli tylko mogła, unikała jak ognia.

Jake wyczuwał, że Zoe nadal nie jest przekonana o winie Lincolna, ale musiał przyznać, że nie pozwala, by osobiste odczucia wpływały na jej pracę.

- Już druga - rzekł, kiedy wracali do auta. - Możemy zatrzymać się po drodze i coś zjeść. Jak się pospieszymy, będziemy w mieście o czwartej. Da to nam jeszcze godzinę, żeby przejrzeć...

- Nie mogę. Dziś muszę skończyć wcześniej.

- Dlaczego?

Zoe zawahała się. Wiedziała, że jej odpowiedź bardzo mu się nie spodoba, ale to, że dla niego pracuje, nie znaczy, że musi mu się spowiadać z każdej minuty swego życia.

- Mam inne plany - odparła, patrząc mu w oczy.

- Randka?

- Nie.

- No to co takiego?

- To nie twoja sprawa, jak spędzam wieczory - warknęła, po chwili jednak zaczęła się tłumaczyć. - Jeśli musisz wiedzieć, dziś wieczór odbywa się bal Żółtej Róży, a ja jestem w komisji dekoracyjnej. Muszę tam być.

Chciała wsiąść do auta, ale Jake mocno chwycił ją za ramię i zmusił, by na niego spojrzała.

- To niebywałe! - krzyknął. - Za kilka tygodni staję przed sądem, a ty skracasz godziny pracy nad moją sprawą, żeby raczyć się szampanem w towarzystwie swoich wyfiokowanych przyjaciół i plotkować o tym, kto z kim sypia!

- Wcale nie!

- Wcale tak!

- To bal dobroczynny - zaczęła, ale on tylko parsknął śmiechem. - Jak mi nie wierzysz, możesz iść ze mną i sam zobaczyć.

- Nigdy w życiu. Zresztą nie mam biletu.

- To nie problem. Mam jeden wolny.

- Nie chcę. Daj go komuś innemu.

- Co jest? Czyżbyś się bał?

To był cios poniżej pasa i oboje o tym wiedzieli.

- Nie mam nawet w co się ubrać na taki cyrk. Nie wpuszczą mnie.

- Nie ma sprawy. Ojciec ma zapasowy smoking. Powinien na ciebie pasować. Przywiozę go, kiedy po ciebie przyjadę.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

To niemożliwe, by kobieta wyglądała tak oszalamiająco.

Kilka godzin później Jake otworzył Zoe drzwi i omal nie padł z wrażenia. W gardle mu zaschło, serce waliło jak oszalałe. Był tylko w stanie stać nieruchomo i gapić się, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Zawsze była atrakcyjna, taki typ dziewczyny z sąsiedztwa, młodszej siostry czy najpopularniejszej uczennicy w klasie, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że może wyglądać aż tak. Zmysłowo i jednocześnie niewinnie prowokująco. Włosy upięła wysoko, odsłaniając nagie ramiona. Jedyłą ozdobą były diamentowe szpilki podtrzymujące fryzurę. Nie miała nawet zwykłego naszyjnika. Nie był zresztą potrzebny, skoro na widok jej sukni każdego by zamurowało.

Ciemnoniebieska jak jej oczy, otulała ją jak mgiełka, podkreślała krągłość piersi i bioder.

A co pod nią? Gdyby miał choć odrobinę rozsądku, w ogóle by się nad tym nie zastanawiał, tylko zmykał, gdzie pieprz rośnie. Nie był jednak w stanie nie tylko się ruszyć, ale nawet oderwać od niej oczu. Na Boga, jak jej się udało przeobrazić w tak krótkim czasie, jaki minął od ich rozstania?

Przygwożdżona jego wzrokiem Zoe oddychała z trudem. Nogi miała jak z waty, żołądek szalał. Przez ułamek sekundy chciała po prostu uciec, ale wtedy uświadomiła sobie, że jej suknia spełniła swe zadanie.

- Widzę, że zaniemówiłeś, domyślam się więc, że podoba ci się moja suknia - powiedziała z uśmiechem.

- Czy tam w ogóle jest coś pod spodem? - wyjąkał wreszcie.

- Rajstopy. - Jej uśmiech był jeszcze szerszy. Kiedy w odpowiedzi zaklął pod nosem, podała mu smoking ojca. - Zaprosisz mnie do środka, czy też mam czekać tu na ganku, aż się przebierzesz?

Spojrzenie Jake'a powędrowało na jej pełne, zmysłowe usta. Ale z niej flirtiera. Czy zdaje sobie sprawę, że igra z ogniem? Przecież wie, że aż się prosi, żeby ją pocałował? Żeby wziął ją w ramiona, jak wtedy.

- Rób, co chcesz - warknął i prawie wyrwał jej z ręki smoking. - Zaraz będę gotowy.

Zniknął, a ona w ostatniej chwili przytrzymała drzwi, które omal nie uderzyły jej w twarz. Zaraz potem usłyszała trzaśnięcie jakichś drzwi w głębi domu i domyśliła się, że zniknął w sypialni albo łazience. Z chytrym uśmieszkiem weszła do środka.

Zastanawiając się wcześniej nad miejscem, w którym mógłby mieszkać Jake, pewnie wyobraziłaby sobie je jako takie, gdzie mógłby się przespać, powiesić ubranie i kapelusz, i nic więcej. Niewiele by się pomyliła. Wyraźnie nie spędzał w tym prostym, drewnianym domu wiele czasu. Meble wyszperał gdzieś na wyprzedazy - stara kanapa, bujany fotel, stolik noszący ślady obutych stóp, okrągły, dębowy stół i samotne krzesło w zupełnie innym stylu.

Jedyną ozdobą był zdeptany chodnik na podłodze. Ani jednego obrazka czy zdjęcia.

W porównaniu z byle jakim domem reszta posiadłości była prawdziwym rajem dla miłośnika koni. Wjeżdżając na podjazd, zauważyła znakomicie utrzymane stajnie, a także tor do ćwiczeń. Nie zdziwiła się, że Jake wszystkie swoje pieniądze wydaje na trenowane przez siebie konie. Robi to, o czym zawsze marzył.

A potem, po dniu ciężkiej pracy, wraca tutaj... Do ciemnego, nieprzyjaznego domu, zimnego pieca, ciszy. Sądząc po zdziwieniu, z jakim powitano go dziś na torze, od tamtego wydarzenia unika też znajomych. I nie ma żadnej rodziny. Ojciec zniknął, kiedy Jake był jeszcze dzieckiem, a matka zmarła, kiedy miał lat szesnaście. Od tamtej pory zdany

był tylko na siebie i na wszystko, co ma, musiał ciężko zapracować. Chorobliwie dumny, wybrał samotną walkę o oczyszczenie swego imienia, bo nie chciał zmuszać przyjaciół, by wybierali, komu mają wierzyć - jemu, czy najbardziej szanowanemu człowiekowi w mieście.

Zrobiło jej się smutno, przekonywała jednak samą siebie, że to ten ponury dom tak ją nastroił. Jake nie zniósłby niczyjego współczucia.

W zamyśleniu poklepała oparcie zniszczonej kanapy i ruszyła w stronę kuchni. Po drodze, mijając okrągły stolik w jadalnym aneksie, strąciła leżące na nim koperty. Zaklęła pod nosem, przyklękła i podniosła jeden z listów.

Pilne.

Czerwone litery na kopercie przeraziły ją. Chciała zostawić listy na ziemi, ale bała się, że Jake oskarży ją, że grzebała w jego rzeczach. Szybko zebrała resztę kopert. Każda z nich miała jakiś urzędowy, groźnie brzmiący stempel. Pilne. Ostatni termin. Anulowano.

Kiedy pierwszy raz usłyszała o jego kłopotach, myślała tylko o ich prawnych konsekwencjach. Dopóki nie dotarło do niej, że sprzedał swego chevroleta, bo zabrakło mu pieniędzy na opłaty, nie miała pojęcia, że oskarżenia Lincolna mogą zniszczyć jego interesy. Nawet wtedy nie podejrzewała, że wpadł w aż takie tarapaty.

Podeszła do okna i spojrzała na pobliskie padoki. Tak jak się obawiała, nie było na nich ani jednego konia.

Od razu stanął jej przed oczami obraz Jake'a takiego, jakiego знаła dawniej - jego rozświetlone oczy, kiedy mówił o ziemi, którą będzie kiedyś miał, i o koniach, które będzie trenował.

I taki, jakim zobaczyła go dziś - dumnie uniesiona broda, kiedy rozmawiał z kolegami na torze, tęsknota w jego oczach, kiedy patrzył, jak inni robią to, co tak ukochał, bezradność,

jaką musiał czuć, kiedy przed paroma godzinami wrócił do własnych pustych stajni i pastwisk.

Jak on sobie daje radę? Większości rachunków najwyraźniej nie płaci, ale co z podatkiem za ziemię, z opłatami za wywóz nieczystości, różnymi ratami? A jedzenie? Przecież musi coś jeść!

Gdzieś w głębi domu skrzyknęły jakieś drzwi. Zoe wiedziała, że za chwilę wejdzie tu Jake i zobaczy smutek i niepokój na jej twarzy. Nie, nie może mu tego zrobić. Nie może urazić jego dumy. Choć bardzo chciało jej się płakać, zmusiła się do uśmiechu.

- No, jak, smoking pasuje? - spytała, odwracając się ku niemu. - To jeden ze starszych.

Na jego widok słowa uwięzły jej w gardle. To niemożliwe, by mężczyzna, który nosi dzinsy, jakby się w nich urodził, w smokingu, który nawet nie jest jego własnością, wyglądał aż tak oszałamiająco. Nie mogła oderwać od niego oczu.

Jeśli dziś wieczór gdziekolwiek z nim wyjdiesz, Murdock, napytasz sobie biedy, ostrzegł ją głos rozsądku. Zrezygnuj, zanim zrobisz coś głupiego.

Za późno. Wieczór, który mieli przed sobą, był zbyt kuszący. Zresztą to tylko kilka godzin, w dodatku w otoczeniu przyjaciół i rodziny. Co złego może się stać?

Odsunąwszy od siebie ostatnie wątpliwości, uśmiechnęła się szeroko.

- Mogę ci zadać to samo pytanie, co ty mnie?

- O coś pytałem? - zdziwił się Jake.

- Czy tam w ogóle jest coś pod spodem? Zaskoczony Jake parsknął śmiechem. Flirciara!

- No, w każdym razie na pewno nie rajstopy - odparł, przypominając sobie jej prowokującą odpowiedź. - A jeśli nie wierzysz, możesz sama sprawdzić.

Patrzył na nią śmiało, jak w dawnych czasach, i przez ułamek sekundy była gotowa to zrobić. Ale to przecież on dał jej nauczkę, której nigdy nie zapomni. Spojrzała na zegarek, udając, że się waha.

- Jaka szkoda! Niestety, nie mamy czasu - oznajmiła niewinnie.

- No, cóż, chyba jakoś to przeżyjesz - parsknął śmiechem Jake. - No, to ruszajmy, zanim któreś z nas zmieni zdanie.

Posłusznie wyszła za nim na dwór. Kiedy na widok jej auta, tym razem eleganckiego jaguara, stanął jak wryty, postanowiła zrobić wszystko, by nic nie zepsuło tego miłego, swobodnego nastroju.

- To tylko samochód - powiedziała cicho. - Cztery koła i silnik. Ale jeśli wolisz jechać twoim, to nie ma sprawy.

Z bardzo poważną miną Jake przez chwilę rozważał tę możliwość. Potem jednak spojrzał na jej suknię i potrząsnął głową.

- Jest zbyt zakurzony. Chyba nie chcesz pojawić się na przyjęciu jako córka młynarza. Jedziemy tym.

Widząc jego zaciśnięte usta, nie dyskutowała dłużej. Bez słowa wsiadła do auta. Nie ośmieliła się jednak zaproponować, by to on prowadził.

Od tej chwili było już tylko coraz gorzej.

W milczeniu dojechali do miasta, a kiedy parkowali przed Bluff Creek, jednym z najelegantszych klubów Austin, milczenie przerodziło się w napięcie.

Zoe zbyt późno zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Jak mogła przypuszczać, że Jake będzie się dobrze czuł wśród ludzi, z którymi nie chciał mieć nic wspólnego dziesięć lat temu, a którzy teraz będą na niego patrzeć z góry, bo ośmielił się oskarżyć jednego z nich o fałszerstwo?

Wolnym krokiem weszła za nim po schodach, oddała w szatni swój szal i stanęła w drzwiach wiodących do sali

balowej. Orkiestra grała cicho „To musiałeś być ty”. Gospodarka podobno była w ruinie, a przemysł wydobywczy po ostatnim krachu nie stanął jeszcze na nogi, ale tu nie było tego widać. Na parkiecie błyszcząły brylanty i złote spinki do mankietów, na tle czarnych smokingów wirowały kolorowe suknie od najlepszych projektantów. Wszędzie stały świece i złote róże.

- To nie był jednak najlepszy pomysł. - Zoe nieśmiało spojrzała na Jake'a. - Wiem, że nie znosisz takich imprez, więc jeśli chciałbyś się zmyć...

- Naprawdę o to ci chodzi? - Jake spojrzał na nią z ukosa. - Boisz się, że twoi wyfiokowani przyjaciele nie będą chcieli mieć nic wspólnego z koniokrądem, co?

- Oczywiście, że nie!

- No, to czemu się teraz wahasz? - Wcale się nie waham. Tylko...

- No co? - warknął, kiedy się zawahała. - Wyduś to wreszcie!

- Dobrze! Nie chcę, żebyś się czuł skrępowany. Wystarczy? Wiem, że to głupie. Jesteś twardy i niepotrzebna ci moja troska. W porządku. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałam - mruknęła i odwróciła się.

- Zaczekaj.

Nie wiedział, czy chce ją przeprosić, czy poznać dokładniej przyczyny jej obaw, ale nie zdążył się dowiedzieć. Jakaś starsza, tęga kobieta, wciśnięta w ozdobioną cekinami, o dwa rozmiary za małą suknię, przerwała mu, rzucając się na Zoe. Na niego nawet nie spojrzała.

- Zoe! Gdzie zdobyłaś tę suknię? Jest wspaniała! I raczej prowokująca. No, ale pamiętam, że ty zawsze taka byłaś, dziecinko. Rozmawiałaś już z rodzicami?



Zoe jakoś zniosła nieszczerzy uśmiech kobiety, przypominając sobie, że to przecież jedna z najbliższych przyjaciółek jej matki.

- Witam cię, Karen - wycedziła przez zęby, przysuwając się do Jake'a. - Nie widziałam jeszcze nikogo. Dopiero przyszliśmy.

Kobieta jakby dopiero zauważyła mężczyznę u boku Zoe, otworzyła szeroko oczy i zachichotała jak pensjonarka, ale Jake nie dał się nabrać. Widział, jak mierzy go wzrokiem od stóp do głów, gotowa za chwilę podać każdemu jego dokładny opis, łącznie z rozmiarem slipów.

- O! Czy my się znamy? - spytała nieśmiało. - Wydaje mi się pan znajomy.

Jake uśmiechnął się ironicznie i przedstawił się.

- Pewnie widziała mnie pani w Wiadomościach.

- Aha, to pan jest tym nowym spikerem na siódmym kanale?

- Nie! - Zoe z trudem powstrzymała śmiech.

- Prawdę mówiąc... - Jake koniecznie chciał wyprowadzić ją z błędu.

- Jest obrońcą zwierząt - rzuciła szybko Zoe. Czy ten kretyn nie wie, że rozmawia z największą plotkarą w mieście?

- Mówiłaś, że widziałaś rodziców, prawda? Musimy się z nimi przywitać. Przepraszamy.

Nie czekając na odpowiedź, chwyciła Jake'a za rękę i pociągnęła za sobą w głąb sali.

- Zrobiłeś to specjalnie - powiedziała po chwili. Wbrew sobie uśmiechała się.

Nawet nie próbował zaprzeczać.

- To stara intrygantka. Chciałbym zobaczyć jej minę, kiedy dowie się, kim jestem. Założę się, że połknie język.

Wyobraziwszy sobie ten widok, Zoe roześmiała się.

- Gdy się ją lepiej pozna, okazuje się nie taka zła.

- To dlaczego tak bardzo chciałaś mnie od niej odciągnąć? Żeby nie dowiedziała się, kim naprawdę jestem?

Wciąż lekko się uśmiechał, ale Zoe nie miała wątpliwości, że nie żartuje.

- Co ty gadasz? Że splawiłam ją, bo się ciebie wstydzę?

- Nie wiem. Ty mi powiedz.

Tego było już dla niej za wiele. Stała tuż przed nim i groźnie spojrzała mu w oczy.

- Gdybyśmy nie byli wśród ludzi, dostałbyś w gębę! Myślisz, że bym cię tu zaprosiła, gdybym się ciebie wstydziła?

- Zrobiłaś to dla żartu i dobrze o tym wiesz - odparł ostro, nie spuszczać oczu. - Przyznaj się. Myślałaś, że się nie zgodzę.

- Wcale nie. Już kiedy miałam osiemnaście lat, wiedziałam, że lubisz wyzwania.

To powiedziawszy, obróciła się na pięcie, nie wiedząc nawet, dokąd zmierza. I stanęła twarzą w twarz z rodzicami, babką i... byłym mężem.

- O Boże!

Frances Murdock była zbyt zmartwiona, by zauważyć zaskoczenie córki.

- Właśnie rozmawialiśmy z Karen. Twierdzi... Stojący tuż za Zoe Jake zauważył, jak pani Murdock blednie na jego widok. Kiedy zamilkła i spojrzała na męża, szukając pomocy, próbował wmówić sobie, że wszystko mu jedno, co o nim myślą. W głębi duszy nie do końca jednak w to wierzył.

- Dzień dobry pani - sztywno skinął głową. - Dzień dobry panu.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie tu dzisiaj - stwierdził zimno Terrence Murdock.

Jasne, że nie. Inaczej na pewno przekonaliby córkę, że obecność jej byłego narzeczonego będzie co najmniej niewłaściwa.

Subtelność. To jedna z ważnych zalet Murdocka, jako burmistrza i jako ojca. Przed dziesięcioma laty dobrze wiedział, że nie powinien zbyt zdecydowanie występować przeciw jego obecności w życiu Zoe, za jej plecami jednak chłodno poinformował Jake'a, że jest zbyt biedny, za słabo wykształcony i za mało obyty dla kogoś o pozycji Zoe. Potem robił wszystko, by zniszczyć ich związek, namawiając córkę do hojności wobec Jake'a.

Jake oczywiście dokładnie wiedział, co starszy pan robi, i postanowił stawić mu czoło. Przez pewien czas nawet z powodzeniem. Potem jednak Zoe przesadziła i wydzierzawiła dla niego ziemię, żeby mógł założyć własne stajnie. Skończyło się to wielką awanturą, po której przekonał ją, że albo zdobędzie tę ziemię własną ciężką pracą, albo wcale.

Ale to nie po tej kłótni rzuciła mu w twarz zaręczynowy pierścionek. Nie, to było potem, kiedy jej kochany, słodki tatuś oznajmił, że w prezencie ślubnym buduje dla nich dom. Wiedział aż za dobrze, że takiego daru duma Jake'a nie pozwoli mu przyjąć, nawet gdyby oznaczało to utratę Zoe.

I tego Jake nigdy mu nie wybaczył. I pamiętał o tym, patrząc teraz w milczeniu w zimne oczy burmistrza.

Wpatrując się to w jednego, to w drugiego, Zoe czuła się, jakby znów miała osiemnaście lat. Przecież to śmieszne tak się zachowywać! Dorośli mężczyźni!

- Jake jest tu na moje zaproszenie - oznajmiła, od razu zła na siebie, ponieważ uznała, że musi się tłumaczyć.

Stojąca z brzegu Ellie Murdock z zadowoleniem obserwowała rozwijającą się sytuację. A więc przyjęcie wcale nie będzie takie nudne, jak się obawiała.

- Przecież nikt z nas nie podejrzewa, że wyłamał drzwi, moje dziecko - powiedziała z wesołym błyskiem w błękitnych oczach i wyciągnęła rękę do Jake'a. - Ponieważ najwyraźniej wszyscy tu zapomnieli o dobrych manierach, sama się

przedstawię. Jestem Ellie Murdock, babka Zoe. A pan to pewnie ten drań, którego omal nie poślubiła dziesięć lat temu, a który nie utrzymał się na tyle długo, by poznać resztę rodziny. Wielka szkoda. Przydałby jej się taki mężczyzna, jak pan.

- Babciu!

- Mamo!

Ignorując pełne oburzenia protesty, Jake spojrzał na stojącą przed nim drobną staruszkę i uśmiechnął się. Sięgała mu ledwo do piersi, miała białe jak mleko włosy, ale coś w jej oczach przypominało mu Zoe. Tak samo wyglądała, kiedy szykowała jakiś figiel.

- Zoe, niestety, nigdy mi o pani nie wspomniała. Może gdybym wiedział, że z wiekiem stanie się podobna do pani, nie dałbym się tak łatwo zniechęcić.

- Nigdy nie jest za późno, żeby naprawić błędy przeszłości - zachwycona Ellie Murdock poklepała go po ręce.

- Czy ty przedstawiś Bryana, czy ja mam to zrobić?

- zwróciła się do wnuczki.

Przyparta do muru, Zoe musiała włączyć byłego męża do rozmowy. Wielkie nieba, w co ja się wpakowałam?

- Jake, to Bryan Armstrong. Bryan, poznaj Jake'a Knighta  
- mruknęła bez cienia uśmiechu.

Jake też już się nie uśmiechał.

- Witam - rzekł chłodno, przyjmując kobieco miękką rękę mężczyzny.

A więc to jest jej eks-mąż, ten bogaty playboy, bogaty i obyty, marzenie matki każdej panny na wydaniu. Podobno tylko raz spojrzał na Zoe i zakochał się po uszy. Jakie romantyczne, cieszyło się całe miasto, a ich ślub - jak z bajki - zajął pierwsze strony gazet w całym stanie. Rozwód, który nastąpił dwa lata później, zapełnił je znowu.

W odróżnieniu od rodziców Zoe, którzy nawet nie próbowali ukryć swej niechęci, Armstrong uśmiechał się, ale jego oczy pozostały obojętne. Hipokryta. Jake nagle wyobraził sobie Zoe w łóżku z tym pajacem... jego ręce na jej jedwabistej skórze, i aż zrobiło mu się niedobrze. Co ona w nim widziała? Przecież to mięczak.

- Przepraszam, ale muszę się czegoś napić - rzucił i wycofał się, zanim Zoe zdążyła zareagować. Została sama i sama musiała stawić czoło niechęci rodziców. I Bryanowi. Od razu zaczęła ich porównywać. Kiedy za niego wychodziła, wiedziała, że nie kocha go tak, jak kochała Jake'a, ale tego właśnie chciała. Postanowiła, że nigdy już nikogo tak nie pokocha, że nigdy nikomu nie da się tak opętać, a potem zranić. Wmawiała sobie, że szacunek, podobne pochodzenie, wychowanie i upodobania są w dobrym małżeństwie ważniejsze od miłości. Ale się myliła! W żadnej liczącej się sprawie Bryan nie dorastał Jake'owi nawet do pięt.

- No wiesz - zaczął Bryan, kiedy tylko Jake nie mógł go już usłyszeć. - Nie spodziewałem się, że cię z nim zobaczę. Wydawało mi się, że nie możesz na niego patrzeć.

- Właśnie, moja droga - pospieszyła mu w sukurs była teściowa. - Co się dzieje? Byłam pewna, że po tym, co ci zrobił, nie będziesz chciała go znać.

Urażona ich krytyką, szczególnie Bryana - ich rozwód był przyjacielski, ale to nie daje mu żadnych praw do oceniania jej postępowania - Zoe postanowiła kategorycznie zareagować.

- Szkoda, że nie słyszycie samych siebie. Ktoś by pomyślał, że wciąż mam osiemnaście lat i zaraz popełnię największy błąd swego życia! Jake i ja razem pracujemy... i to wszystko. Rozumiecie? Więc przestańcie się zachowywać, jakby dybał na moją cnotę czy coś w tym sensie. Curt go reprezentuje, a ja prowadzę śledztwo i zbieram materiały. Nic więcej. - Nawet w jej własnych uszach brzmiało to tak, jakby

nie wiedziała, kogo naprawdę chce przekonać - rodzinę czy siebie.

Ellie Murdok bynajmniej jej w tym nie pomogła. Uśmiechnęła się chytrze i spokojnie się z nią zgodziła.

- Oczywiście, moja droga. A nawet jeśli stwierdzisz, że twoje uczucia do tego człowieka wcale nie umarły, to kto mógłby cię za to winić? Takiemu silnemu, szorstkiemu mężczyźnie trudno się oprzeć. Spodobał mi się.

Zoe poddała się.

- Muszę się czegoś napić - powiedziała.

Znalazła go w pobliżu baru, wspartego o jakąś kolumnę, z lampką szampana w ręku. Zauważyła, że skrzywił się, kiedy przechodząca obok pełniona rudowłosa kobieta w obcisłej czarnej sukni obrzuciła go zachęcającym, uwodzicielskim spojrzeniem. Za jeden brylant z biżuterii, którą miała na szyi, opłaciłby wszystkie rachunki, które widziała na stoliku. Ale on był tak obojętny, że aż się roześmiała. Choć nikt nigdy nie powiedział tego na głos, jej rodzina zawsze uważała go za łowcę posagów. Nie mogli bardziej się mylić.

- Przepraszam - powiedziała, stając przed nim. Ponieważ żadne z nich nigdy nie przeproszało, Jake spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Za co?

- Za rodziców, chyba nie powitali cię z otwartymi ramionami.

Mógłby jej powiedzieć, że to nie jej rodzice go zdenerwowali, ale wiedział, że od razu by się domyśliła, że chodzi mu o jej „byłego”. Ani myślał jej mówić, że już sama jego obecność doprowadziła go do szału.

- To twoi rodzice - rzekł. - Dla nich zawsze będziesz dziewczynką, o którą muszą się troszczyć.

- A poza tym dobrze się czujesz? - zaśmiała się. - Wydawało mi się, że się obraziłeś.

- Nie, nie obraziłem się. I czuję się znakomicie. Wszedłem na tę imprezę na twój bilet, mam na sobie smoking twego ojca i wrócę do domu twoim jaguarem. Czego jeszcze miałbym chcieć?

- Jake...

Ten nagły wybuch goryczy był dla niej jak policzek, ale zanim zdążyła zapytać o jego przyczynę, zauważyła, że Jake zeszywniał i utkwiał lodowate spojrzenie w kimś w głębi sali.

Odwróciła się i zobaczyła Dereka Lincolna. Wiedziała, że tu będzie, ale nie spodziewała się go tak wcześnie. Stał jakieś półtora metra od nich, opalony, przystojny, około pięćdziesięcioletni. Promieniował urokiem i władzą. Jak zawsze nieskazitelnie ubrany, z czarnymi włosami ulizanymi jak u mafiosa i oczami, przed którymi nic się nie ukryje. Popatrzył na Jake'a, potem na nią i najwyraźniej od razu zorientował się, o co chodzi, bo zmarszczył brwi.

- Chcę z nim porozmawiać. - Zoe już zrobiła krok w jego kierunku, kiedy Jake mocno chwycił ją za ramię.

- Czyś ty zwariowała? Ani mi się waży zbliżyć do tego drania!

- Chcę tylko porozmawiać. No wiesz, trochę go wysondować, zobaczyć, co ma do powiedzenia na swoją obronę. Jake, puść mnie!

- Mowy nie ma - warknął Jake. - Zostaniesz tutaj, żebym miał cię na oku.

Jego opiekuńczość zaskoczyła i jego, i ją. Wiedział, że umie dawać sobie radę. Ale kiedy patrzył w jej błękitne oczy, nie logika nim kierowała, lecz pożądanie. Jak to możliwe, by znów tak go pociągała?

Mocno zacisnął palce na jej ramieniu.

- Trzymaj się z daleka od Lincolna, Zoe. Mówię serio. Ten człowiek może być niebezpieczny. Nie chcę, żeby cię skrzywdził.

Pod jego spojrzeniem czuła się jak w pułapce. Serce biło jej coraz szybciej i nie była w stanie go uspokoić. Wiedziała, że powinna uciekać, zanim będzie za późno.

- Muszę - powiedziała zdecydowanie i znów szarpnęła rękę.

Świadomy coraz bardziej zaciekawionych spojrzeń, puścił ją, a ona nie czekała, aż zmieni zdanie. Obiecując, że zaraz wróci, zostawiła go samego.

Kiedy podeszła, Lincoln stał przy otwartych oszklonych drzwiach wiodących na basen i palii papierosa. Na jej widok nie okazał zdziwienia, więc najwyraźniej się jej spodziewał. Powitał ją lekkim skinieniem głową i nonszalanckim gestem wyrzucił niedopałek papierosa w ciemną noc.

- Zdaje się, że powinienem ci złożyć gratulacje - mruknął.  
- Dzięki tobie nasze plotkarki będą miały o czym mówić.

Zoe nie spodziewała się wiele po tej rozmowie, więc zdziwiło ją, że sam poruszył ten temat. Ciekawe dlaczego? Biorąc pod uwagę dowody, jakie sąd miał przeciw Jake'owi, powinien być dużo bardziej pewny siebie.

Uśmiechnięta jak on, spojrzała na niego niewinnie.

- Bo przyszedł z Jake'em Knightem?

- Z koniokradem - poprawił ją gładko. - Przyprowadziłaś koniokrada do kulturalnego towarzystwa. To karygodne. Podejrzewam, że twoja matka jest oburzona.

- Rzekomego koniokrada. O ile wiem, dopóki nie udowodni się winy, człowiek jest niewinny.

- A o ile ja wiem, jesteś zbyt rozsądna, by się mieszać w przegraną z góry sprawę. Jako jeden z najbliższych przyjaciół twego ojca muszę ci powiedzieć, że źle robisz. To się może odbić na twojej reputacji.

Zoe nie wierzyła własnym uszom. Ten człowiek, którego broniła przed Jake'em, ten sam człowiek, którego wielbi całe miasto, teraz jej grozi.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jake był tak wściekły, że rzucił się na Zoe z furją, ledwo tylko usiadła za kierownicą.

- Aż nie mogę w to uwierzyć! - wrzasnął. - Czy ty masz go za idiotę? Wystarczyło, że zobaczył cię ze mną, i wszystko było już dla niego jasne. Wie dokładnie, co zamierzasz.

- Możliwe, ale...

- Żadne ale! - warknął. - Chyba nie wiesz, do czego jest zdolny, inaczej nie traktowałabyś go tak lekko. Jest bezwzględny i jeśli postanowi cię zniszczyć, nie będzie się przejmował, kim jest twój ojciec. Do jasnej cholery, kobieto, czy ty mnie słuchasz?

Właściwie nie.

- On mi groził - powiedziała z niedowierzaniem, nie odrywając wzroku od jezdni. - W każdą sobotę grywa w golfa z moim ojcem i śmie mi grozić! Co on sobie wyobraża?

Jake aż zeszywniał.

- Co takiego? Groził ci? Czym? Jak?

- Sugerował... nie, nie był bynajmniej subtelny - poprawiła samą siebie Zoe. - Stwierdził bardzo wyraźnie, że postąpiłam głupio, przyjmując twoją sprawę, i że może zaszkodzić to mojej reputacji. - Jej zaciśnięte na kierownicy ręce aż zbieleły. - Ale się zdziwi! Załatwię go na amen!

Jake zaklął pod nosem i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Czy ty słyszysz, co mówisz? Ten facet grozi, że cię zniszczy, a ty myślisz tylko o tym, jak załatwisz go w sądzie. Na miłość boską, Zoe, to nie zabawa! On mówi serio.

- Ja też - warknęła urażona. - I ty też posłuchaj, co mówisz - dodała, zajeżdżając przed jego posiadłość.

- Wygląda na to, że od początku miałaś rację co do Lincolna i teraz, kiedy ci uwierzyłam, starasz się mnie przestraszyć!

- Wcale nie! Ja tylko...

- No co? - przerwała mu, parkując przed jego nie oświetlonym domem. - Jeśli zapomniałeś, to przypominam, że biorę pieniądze za znalezienie dowodów, które oczyszczą twoje dobre imię. Nie mogę się wycofać tylko dlatego, że ten facet mnie straszy!

- Nie, ale choć raz w życiu mogłabyś być trochę ostrożniejsza. Czy żądam za dużo? Wiem, że twoja praca wiąże się z ryzykiem, ale to nie znaczy, że będę stał i patrzył, jak ten drań niszczy cię czy twoją reputację.

Pasja, z jaką to powiedział, zaskoczyła ich oboje. W ciemnym aucie zapanowała pełna napięcia cisza. Każda rozsądna kobieta by ją zignorowała, powiedziała dobranoc i odjechała, ale Zoe w obecności Jake'a zawsze traciła zdrowy rozsądek.

- On przecież tylko grozi, że zrobi mi to samo, co tobie - powiedziała cicho. - Czemu troszczysz się bardziej o moją pracę niż o swoją?

- Przecież dobrze wiesz, dlaczego! - warknął i po prostu, niespodziewanie dla siebie i dla niej, wziął ją w ramiona.

Jego palce zacisnęły się na delikatnej, nagiej skórze jej ramion. Próbowwała się bronić, ale bez przekonania. Chciała mu powiedzieć, by ją puścił, zanim zrobią coś, czego będą żałować. Nie była jednak w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Nieświadomie wsunęła ręce pod jego marynarkę.

- Jake...

Słyszając swe imię, wypowiedziane w sposób tak namiętny i pełen pożądania, jak przed dziesięciu laty, nie mógł już dłużej czekać. I znów było tak, jak wtedy. Dopóki nie poczuł słonego smaku jej łez.

Przerwał pocałunek i odsunął ją od siebie równie gwałtownie, jak wcześniej przyciągnął. Jeszcze nigdy nie całował żadnej kobiety w złości. Dopiero ją. Dlaczego?

- Przepraszam - szepnął, przerywając ogłuszającą ciszę. - Jeśli chcesz dać mi w twarz, zrób to. Wiem, że zasłużyłem. Nie wiem, co się ze mną stało.

- Ja też zwariowałam. Nie powinnam cię prowokować. Spojrzał na jej bladą twarz. Wyciągnął rękę, by pogładzić ją, ale odsunęła się jak oparzona.

- Nie - szepnął znów. - Przeklnij mnie, uderz, jeśli chcesz, ale nie próbuj mnie usprawiedliwiać. Przecież sprawiłem ci ból!

Chciała mu powiedzieć, że to nie usta ją bołą, lecz serce, lecz nie zdążyła. Jake nachylił się i leciutko pocałował ją w kącik ust. Na przeprosiny, pomyślała. To nic nie znaczy. Kiedy jednak za chwilę zrobił to samo z drugim kącikiem, zrozumiała, że była w błędzie. Serce zaczęło jej szybciej bić, spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie bój się - szepnął. - Nie...

Ujął jej zalaną łzami twarz w dłonie i tym razem, kiedy jego wargi spoczęły na jej ustach, było zupełnie inaczej niż przedtem. Delikatnie, bez złości, słodko...

To za tym tęskniła. Poczuła, że po latach samotnej tułaczki wróciła wreszcie do domu.

Przeraziła ją ta myśl. O Boże, co ja zrobiłam? A tak byłam pewna, że wszystkie moje uczucia do tego człowieka dawno umarły. Tłumiąc szloch, wyswobodziła się z jego objęć.

- Muszę już jechać.

- Zoe...

- Już późno - przerwała mu zdecydowanie. - Mam wcześniej rano spotkanie. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

O, tak, rozumiał jak najbardziej. Będzie udawać, że to, co przed chwilą między nimi ożyło, nigdy nie miało miejsca. Później, kiedy on sam ochłonie, pewnie będzie jej za to wdzięczny. Ale teraz... teraz żąda od niego zbyt wiele! Jake zmarszczył brwi, zaklął pod nosem i sięgnął do klamki.

- W porządku - mruknął. - Aluzja zrozumiana. Kiedy zatrzaskał drzwi, Zoe aż podskoczyła. Nawet się nie odwrócił. Może i lepiej. Zobaczyłby wtedy ból w jej oczach. I nie mógłby odejść.

Ze smokingiem burmistrza pod pachą, w poniedziałkowy poranek Jake stanął przed drzwiami gabinetu Zoe. Patrzył na nie, jakby chciał je wyłamać. Niech diabli wezmą tę kobietę! Musi zniknąć z jego życia. Przez cały weekend czuł na sobie jej oszałamiający zapach. Kiedy odjechała w piątek wieczorem, leżał w ciemnościach, wsłuchiwał się w ciszę i pragnął jej aż do bólu. Później wcale nie było lepiej. Dziś rano obudził się z przekonaniem, że musi zrobić coś z nią i uczuciami, które tak łatwo w nim ożywiła. Nie będzie tym zachwycona, ale tym gorzej dla niej. Nigdy więcej nie pozwoli, by tak go opętała. Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi i wszedł do środka.

Zoe, zmęczona, blada, z podkrążonymi oczami, siedziała przy biurku.

- Dzieci mojej sekretarki nadal są chore, więc jestem sama - wyjaśniła, czemu nie siedzi na swoim miejscu. Z ogromnym wysiłkiem nadała swemu głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie. - Co tu robisz tak wcześnie? Przecież do sądu wybieramy się dopiero na dziesiątą.

Jake powiesił smoking na wieszaku. Jego oczy i głos były równie chłodne, jak jej.

- Przemyślałem sprawę i uznałem, że lepiej będzie, jeśli nie będziemy razem pracować - rzekł.

- Co takiego? Nie możesz...

- Wybieram się właśnie do Curta, żeby znalazł mi innego detektywa - mówił dalej, nie zwracając na nią uwagi. - Uznałem, że powinienem cię o tym uprzedzić. Jeżeli się sama nad tym zastanowisz, uznasz, że to najlepsze rozwiązanie dla nas obojga.

Zoe czuła się, jakby dostała niespodziewany cios między oczy. Zaskoczona, zdziwiona, z głową pełną sprzecznych myśli, z płonącymi oczami, wstała z za biurka.

- Chyba nie mówisz poważnie! Zawarliśmy umowę i spodziewam się, że jej dotrzymasz. Zresztą już zaczęłam śledztwo. Nie możesz mnie teraz zwolnić.

- Nie? Już to zrobiłem. A teraz, jeśli pozwolisz, chcę złapać Curta, zanim wyjdzie do sądu.

Uznał, że sprawa jest załatwiona, odwrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom. Tego było dla niej za dużo. Co za przemądrzały, bezczelny, arogancki... Była tak wściekła, że aż słów jej zabrakło. Czyżby naprawdę myślał, że podda się bez walki?

Błyskawicznie podbiegła do drzwi i zagrodziła mu drogę.

- To nie ma nic wspólnego z moimi kwalifikacjami jako detektywa, prawda? - zaczęła z ironią. - Wycofujesz się, bo przeraziło cię to, co stało się w piątek.

- Nie przeginaj, maleńka. - Jake obrzucił ją lodowatym spojrzeniem. - Odsuń się. Podjąłem już decyzję i nie mam zamiaru jej zmieniać.

- Tak po prostu - Zoe pstryknęła mu palcami pod nosem - zabierasz najciekawszą sprawę, jaka trafiła mi się od lat. Wszystko z powodu kilku pocałunków zupełnie bez znaczenia.

- Takie dla ciebie były? - Jake mocno chwycił ją za nadgarstek. - Bez znaczenia?

Złapanej w pułapkę jego uścisku Zoe zachciało się śmiać. Bez znaczenia? Po pocałunkach bez znaczenia nie spaceruje się po pokoju do drugiej w nocy. Na tym polega cały problem. Gdyby miała choć odrobinę zdrowego rozsądku, pozwoliłaby mu odejść bez protestu. Niestety, nie potrafiła. Chciałaby wierzyć, że chodzi jej tylko o utratę ciekawej sprawy, ale

wiedziała, że to nie do końca prawda. A nawet tylko niewielka jej część.

- Oczywiście - powiedziała najswobodniej, jak potrafiła. - Oboje na moment się zapomnieliśmy, ale ja na pewno się tym nie przejmuję. A ty?

I to był błąd. Jake jeszcze mocniej zacisnął palce na jej ręce.

- Kłamczucha! Mam ci to udowodnić?

- Nie!

Nawet ona słyszała panikę w swym głosie.

- Nie pozwolę ci się pocałować tak jak w piątek! - krzyknęła, próbując go odepchnąć wolną ręką. - Tylko dlatego, że jesteś wściekły...

- Nie jestem wściekły - mruknął, unosząc jej brodę do góry. - Po prostu chcę ci coś udowodnić... i sobie.

- Nie...

Za późno. Jego usta już były na jej wargach, dusząc wszelkie protesty.

Zoe mocno zacisnęła wargi i stała nieruchomo jak kłoda. Jeśli myśli, że mu pomoże, to grubo się myli. Szybko zdała sobie jednak sprawę, że jej obojętność wcale mu nie przeszkadza. Już chciała sobie pogratulować, kiedy poczuła, że zaczyna delikatnie ssać jej dolną wargę. Tego było już za wiele.

Wypuścił ją z objęć dopiero dużo później.

- A teraz spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że to nic takiego - zażądał. - No!

Zoe bardzo chętnie by to zrobiła, serce jednak waliło jej jak oszalałe, w gardle zaschło, nogi miała jak z waty. A więc nic się nie zmieniło. Działał na nią tak samo jak w piątek. I jak przed dziesięciu laty.

- Skoro nadal chcesz zabrać mi tę sprawę, to twój wybór - wyjąkała w końcu. Na jego ostatnie pytanie nie

odpowiedziała. Nie potrafiła. - Nie mogę ci w tym przeszkodzić. Ale z kolei ty nie możesz przeszkodzić mnie w zajmowaniu się nią na własną rękę. To wolny kraj i jeśli chcę zająć się Lincolnem, to niepotrzebna mi do tego twoja zgoda.

Jake zaklął. Chciał nią potrząsnąć, wziąć w ramiona i pocałunkami stłumić bunt. Wiedział, że Zoe robi to, co obiecuje. Samodzielnie zajmie się Lincolnem, podczas gdy on będzie opłacał za to samo innego detektywa. To może tylko wszystko utrudnić.

- Chyba zwariowałem, że w ogóle dałem się Curtowi na ciebie namówić - mruknął przez zęby. - Rzeczywiście już za późno, by szukać innego detektywa. Ale nie myśl sobie za wiele. Koniec sprawy oznacza definitywny koniec naszej znajomości.

Powiedział dokładnie to, co sama myślała. Mimo to sprawił jej przykrość. Szczególnie po tym ostatnim pocałunku.

- Dobrze. A skoro już nie wybierasz się do Curta, proponuję, byśmy od razu wzięli się do pracy.

Jake'owi wydawało się, że znalezienie miejsca, gdzie Lincoln ukrył ciężarówkę i przyczepę, których użył, by ukraść swego własnego konia, będzie stosunkowo prostym zadaniem. Przejrzy tylko rejestry podatkowe i już będzie wiedział, co trzeba. Bardzo się mylił. Ilość wszelkiego rodzaju akt była przerażająca - podatki od nieruchomości, lokalne i stanowe, dane dotyczące firm i korporacji, podatki osobiste, rejestry sądowe ze spraw, w które Lincoln kiedykolwiek był zamieszany... Bez Zoe zajęłoby mu to wiele tygodni, może nawet miesięcy.

Dzięki niej trwało to tylko trzy dni. Nie tylko wiedziała gdzie, ale i jak szukać. Umiała odróżnić fakty ważne od nieistotnych. Była w swoim żywiole. Najpierw zrobiła listę wszystkich nieruchomości zapisanych na Lincoln, potem zaczęła szukać firm, w których mógłby być cichym

wspólnikiem, a które posiadają ziemię. Nie było to zadanie łatwe. Lincoln był sprytnym biznesmenem, który umiał zacierać ślady. Ona jednak działała jak pies myśliwski, który złapał trop. Korzystając z komputerowego archiwum ponad dwóch tysięcy gazet ukazujących się w hrabstwie, spisała nazwiska wszystkich, którzy mieli jakikolwiek publiczny kontakt z Lincolnem, nawet krótki i daleki. Potem próbowała to wszystko jakoś połączyć.

W środę o piątej po południu, kiedy zamknięto już sądową bibliotekę, wrócili do jej biura, zupełnie wykończeni. Jake był pełen podziwu dla swojej szefowej. Przeszukała praktycznie wszystko. Zadzwoiła nawet do znajomego z Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego i odkryła, że jedna z firm, w której Lincoln jest cichym udziałowcem, ma ciężarówkę tej samej marki co samochód Jake'a. Pewna już, że Lincoln jest winny, nie miała wątpliwości, że kazał on na nim namalować logo Jake'a, a potem, po wykorzystaniu do kradzieży, ukrył na jednej ze swych posiadłości. Tylko na której? Ich lista była długa i obejmowała siedem hrabstw. Na samą myśl o przeszukaniu wszystkich Jake aż jęknął. Przecież to potrwa wieki.

Myśląc o tym samym, Zoe zasiadła w fotelu za biurkiem i ściągnąwszy brwi, spojrzała na przygotowaną listę.

- Nie mamy innego wyjścia, musimy listę podzielić. Jeśli każde z nas weźmie połowę, powinniśmy jakoś dać sobie radę.

Już chciał przyznać jej rację, kiedy nagle wyobraził ją sobie włączając się samotnie gdzieś na odludziu. I faceta z bronią, zarepetowaną na jej widok. Owszem, nie miał wątpliwości co do jej zawodowych kwalifikacji. Nieraz już udowodniła, że zna się na swojej robocie. Nie powinien się martwić, że robi coś głupiego.

Potem przypomniał sobie, jak podeszła do Lincolna podczas balu, i aż zeszywniał.



- Możliwe - rzekł zdecydowanie - ale będzie bezpieczniej, jak będziemy trzymać się razem.

Zaskoczona, że nie chce skorzystać z okazji, by nie musieli spędzać razem tyle czasu, spojrzała na niego niepewnie.

- Ale wtedy to dłużej potrwa. Myślałam, że się spieszymy.

Owszem, ale co to byłaby za praca, gdyby cały czas musiał się o nią martwić?

- Zrobimy to razem - rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu, który doprowadzał ją do furii. - Przyjadę po ciebie o siódmej rano.

Dyskusja z nim przyniosłaby jej tyle, co walenie głową o ścianę. Zacisnęła zęby i uśmiechnęła się słodko.

- Robisz błąd - powiedziała - ale skoro tak chcesz, dobrze. Będę gotowa.

I w drodze, zanim ty zdążysz wstać, dodała w duchu. Od trzech dni chodził za nią jak cień i w ogóle nie mogła się skupić. Mowy nie ma, by spędziła z nim choć jeden dzień więcej. Jej zmysły tego nie zniosą. Nie zniosą jego bliskości, jego zapachu, jego...

Budzik zadzwonił o piątej trzydzieści, praktycznie w środku nocy. Wyłączyła go i jeszcze na chwilę wtuliła głowę w poduszkę, przeklinając Jake'a. To wszystko jego wina! Czy nie mógł zostać w dawno zapomnianej przeszłości, gdzie mogłaby go nienawidzić za to, że złamał jej serce? Nigdy jej nie rozumiał. Nie rozumiał, że z chwilą kiedy się w nim zakochała, jego plany i marzenia stały się jej planami i marzeniami. Przecież musiała mu pomóc w spełnieniu marzeń o własnych stajniach, a on tylko uznał, że chce zapłacić za coś, na co go nie stać. Pieniądze! Każda ich kłótnia była z tego powodu. Ich różny status majątkowy był dla niego nie do

przyjęcia, a ona tylko chciała go kochać. Niestety, tak naprawdę nigdy nie dał jej szansy.

I nic się nie zmieniło. Musi o tym pamiętać.

Z trudem zwlokła się z łóżka, poczłapała do łazienki i weszła pod prysznic. Oprzytomniała dopiero pół godziny później, już w dżinsach, zielonym golfie, grubych skarpetach i adidasach.

Wiedziała, że takie wyprawy trudno z góry zaplanować, więc na wszelki wypadek spakowała podręczną torbę, do turystycznej lodówki wrzuciła sześć puszek wody sodowej i kilka kanapek. Na szyi powiesiła aparat fotograficzny i lornetkę, wzięła torebkę i listę posiadłości Lincolna i ruszyła do drzwi.

Jake cię zabije, jak to zrobisz, usłyszała w głowie ostrzegawczy głos. Na pewno chcesz to zrobić?

Skrzywiła się, ale nie zwolniła kroku. Przecież nie musi go słuchać. Nie jest jej ojcem, mężem ani nawet kochankiem, a już na pewno nie szefem. Nie potrzebuje jego pozwolenia ani pomocy, by wykonywać swą pracę.

Objuczona ponad miarę miała ogromne problemy z zamknięciem za sobą drzwi.

- Pozwól, że ci pomogę. Tego się nie spodziewała.

- Jake! Ale mnie przestraszyłeś! Co ty tu robisz? Ubrany w sprane dżinsy, niebieską flanelową koszulę,

zamszową kamizelkę i zdeptane kowbojki, stał oparty o filar tuż przy drzwiach jej domu, najwyraźniej już od pewnego czasu. Patrzył na nią z chytrym uśmieszkiem.

- O ile dobrze pamiętam, mieliśmy pracować dziś razem.

- Mieliś... to znaczy mamy! - Zoe wbrew sobie zaczerwieniła się aż po uszy. - W... właśnie chciałam wrzucić parę rzeczy do auta.

- Naprawdę? A byłbym gotów się założyć, że chciałaś zniknąć przed moim przyjazdem.

Przyłapał ją na gorącym uczynku, wstręciuch! Mogła tylko udawać urażoną świętą niewinność.

- Ja? Czemu miałabym to robić?

- Mógłbym ci podać nawet kilka powodów. - Jake Oderwał się od filara i stanął tuż przy niej. Wykorzystując fakt, że ma zajęte ręce, delikatnie obrysował palcem jej dolną wargę. Kiedy znieruchomiała, uśmiechnął się. Wyraźnie czytał w niej jak w książce. - Posiadłości Lincolna rozciągają się w całym środkowym i południowo - zachodnim Teksasie i przeszukanie ich zajmie ze dwa dni albo i dłużej. Może nawet będziemy musieli spędzić w drodze kilka nocy. Myślę, że to właśnie cię przeraziło. Zgadza się, księżniczko?

Był tak blisko, że widziała złote ogniki tańczące w jego pociemniałych oczach. Nieświadomie oblizwała wargi i przy okazji... jego palec. O, nie!

- Chyba masz za wysokie mniemanie o sobie - wyjąkała przez ściśnięte gardło. - Nie mam żadnego powodu, by się ciebie bać.

Nawet ona wiedziała, że ma, i to niejeden. Wystarczyło, by jej dotknął, a ona już myślała tylko o tym, by znaleźć się w jego ramionach.

- Jeżeli tamten nasz pocałunek nic dla ciebie nie znaczył, to rzeczywiście masz rację - przyznał bardzo poważnym tonem. - No, to dlaczego chciałaś uciec?

- Znaczył czy nie, to nieistotne. Nigdy więcej nie popełnię tego błędu. To się już nigdy nie powtórzy - oznajmiła.

- Jeśli chcesz mnie ostrzec, - bym się w tobie przypadkiem znów nie zakochał, to niepotrzebnie - wycedził. - Nie interesuje mnie rozpieszczona bogata panienska!

- To powiedz to jakiejś rozpieszczonej, bogatej paniencie, a nie mnie - odparowała. - A skoro już tak sobie wszystko wyjaśniamy, to wiedz, że ja też nie jestem tobą zainteresowana. Przemądrzali kowboje nie są w moim guście.

- Powiedz to jakiemuś kowbojowi - sparodiował jej powiedzonko Jake.

- Właśnie powiedziałam!

Patrzyli na siebie jak dwaj bokserzy na ringu, czekający na gong. On nie był zainteresowany nią i vice versa. Skąd więc wzięło się to seksualne napięcie?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Spokojnie wziął od niej torbę i lodówkę i ruszył w stronę swej półciężarówki.

- Pojedziemy moim autem. U ciebie nie ma ogrzewania.

- Ale...

- Nie gadaj już. Musimy się śpieszyć. Mapa jest w schowku. Będziesz pilotem.

Zoe ani drgnęła.

- Nie będę. Chyba że chcesz, żebym zabrudziła ci auto. Jak czytam w czasie jazdy, dostaję choroby lokomocyjnej.

- Poważnie? A może mówisz tak tylko dlatego, żebyśmy pojechali twoim samochodem?

- Jest tylko jeden sposób, żebyś się przekonał. Daj mi mapę i ruszajmy.

Jake zawahał się. Próbował nie zauważać, jak jej figlarne spojrzenie działa na rytm jego serca. Wstręciucha! Może i lepiej, żeby on miał mapę. Pomoże mu to nie myśleć o jej bliskości. Zrezygnowany sięgnął do kieszeni i podał jej kluczyki.

- No to prowadź. Ale pojedziemy moim. Nie ufam temu twojemu gratowi na szosie.

Za obopólną zgodą, ledwo wsiedli do auta, przestali się spierać. Mieli przed sobą kilka długich i najprawdopodobniej trudnych dni i wiedzieli, że przeżyją je tylko wtedy, jeśli skupią się na pracy. Nie było to łatwe. Przesadnie uprzejmi, zachowywali się jak para obcych ludzi, wbrew ich woli zmuszonych do jazdy jedną taksówką. Jednak kiedy tylko ich spojrzenia spotykały się, temperatura w samochodzie wzrastała o kilkadziesiąt stopni.

Najpierw obejrzelili posiadłość w Austin, ale, jak podejrzewali, niczego tam nie znaleźli. Lincoln nie jest głupi, by chować ciężarówkę z przyczepą w mieście, gdzie ktoś przez przypadek mógłby się na nią natknąć. Nie, na pewno

ukrył ją gdzieś dalej, z dala od wścibskich oczu. Pytanie tylko - gdzie? Jego ziemskie posiadłości sięgały aż do meksykańskiej granicy, dobre dwieście kilometrów od Austin. Ciężarówka i przyczepa mogą być praktycznie wszędzie.

Zdrowy rozsądek wskazywał, że ten, kogo wynajął Lincoln, żeby udawał Jake'a i ukradł konia z rancza Lincolna na południu miasta, musiał jak najszybciej po dokonaniu przestępstwa zniknąć razem z nimi. Logicznie - miejscem do poszukiwań był więc kawałek ziemi, który Lincoln miał niedaleko San Marcos, około czterdziestu kilometrów stąd.

Kiedy tylko odnaleźli posiadłość i zatrzymali się przy drodze wiodącej obok, wiedzieli już, że ciężarówki tam nie będzie. Lincoln dzierżawił ziemię jakiemuś rolnikowi, który uprawiał kukurydzę. Było świeżo po zbiorach i wokół rozciągały się tylko gołe ścierniska.

- Szkoda czasu - mruknął Jake. - Możemy jechać dalej.

- Nie tak szybko - zaprotestowała Zoe. - Na końcu dróżki jest dom. Podjedźmy tam - zaproponowała i już jechała w tamtą stronę.

Zaskoczony Jake zdusił w ustach przekleństwo.

- Cholera jasna, co ty wyprawiasz? Przecież to teren prywatny! Chcesz, żeby nas ktoś zastrzelił?

- Spokojnie - zaśmiała się tylko. - Tu nikogo nie ma. Popatrz, w tym domu od lat nikt nie mieszkał.

Z piskiem opon, wzbijając tuman kurzu, zatrzymała się przed małą, drewnianą chatką. Brudne, pozbawione firanek okna patrzyły na nich ślepo. Nie było tu nawet miejsca, gdzie ktokolwiek mógłby coś ukryć.

- Wjeżdżając na tę ścieżkę, nie mogłaś o tym wiedzieć - przypomniał, kiedy zawróciła i jechała już szosą w stronę następnej posiadłości na liście. - Co byś zrobiła, gdyby z tej chaty wyszedł ktoś ze strzelbą?

- A po co miałyby to robić? To nie przestępstwo podjeżdżać przed czyjś dom.

Rzeczywiście, ale Jake pamiętał tamte długie dni zaraz po aresztowaniu, kiedy schronił się w domu, jak ranne zwierzę, by w samotności lizać rany. Odsunął się od wszystkich przyjaciół, nie chciał nikogo widzieć, z nikim rozmawiać. Szczególnie z nachodzącymi go watahami reporterów. Słyszając kolejny zajeżdżający samochód, nieraz miał ochotę sięgnąć po broń.

- Może i nie - przyznał ponuro. - Ale niektórzy ludzie są bardzo czuli na punkcie swej prywatności.

Zaskoczona jego tonem, Zoe spojrzała na niego spod oka. Coraz trudniej jej było zachować zawodową obojętność. Na widok jego smutnej, zaciętej twarzy serce jej się ścisnęło. Zawsze tak reagował, kiedy przypominał sobie ciężące na nim zarzuty. Nie był człowiekiem publicznym, nienawidził prasy i ciekawskich spojrzeń, jakie przyciągał, kiedy tylko pojawiał się w mieście i ktoś go rozpoznawał. Nic dziwnego, że był taki zgaszony.

Oczy jej zwilgotniały, chciała wziąć go w ramiona i utulić. Dlaczego? Dlaczego wciąż tak na nią działał? Przez tyle lat wspomnienie wieczoru ich zerwania tkwiło w jej pamięci jak bolesny cierń. Próbowwała go przekonać, że ojciec chce im ofiarować dom nie dlatego, że wątpi, by byli w stanie się utrzymać. To pożyczka, którą Zoe spłaci, gdy skończy dwadzieścia jeden lat i odziedziczy pieniądze zapisane przez dziadka. Jake jednak jej pieniędzy nie chciał. A potem nie chciał także jej.

Kiedyś wystarczyło tylko, by przypomniała sobie, jak ją porzucił, i wpadała w szal. Teraz jednak coraz trudniej jej było pamiętać o tamtym bólu. Zdawał się należeć do bardzo, bardzo odległej przeszłości.

Mocniej zacisnęła palce na kierownicy i starała się nadać swemu głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie.

- Jeśli natkniemy się na kogoś ze strzelbą, nie będziesz musiał mnie ostrzegać. Zawrócę tak szybko, że ci się w głowie zakręci.

Powinno go to uspokoić, lecz kiedy w końcu znaleźli następną posiadłość i potem jeszcze jedną, była równie nieostrożna. Podjeżdżała wprost przed frontowe drzwi każdego napotkanego domu. Na szczęście i one były opuszczone. I za każdym razem, widząc jej pewny siebie uśmiech, Jake chciał najpierw nią potrząsnąć, a potem wziąć w ramiona i całować aż do utraty tchu.

Kiedy przejechali przez pagórkowatą okolicę i zbliżali się do niewielkiego miasteczka, miał już dość jej brawury i bliskości. Wiedział, że jeśli szybko nie skoncentruje się na czymś innym, straci nad sobą panowanie.

- Zjedź na pobocze - polecił. - Napijemy się i odpoczniemy chwilę.

- Ja wcale nie jestem zmęczona. Tu zaraz powinna być następna posiadłość. Kiedy byliśmy w tym warsztacie w mieście, mechanik mówił, że jakieś trzy kilometry za miastem będzie skręt. Już chyba tyle przejechaliśmy. O, patrz! Jest!

Ignorując protest Jake'a, wjechała przez pomalowaną na czerwono bramę, o której im mówiono, i pojechała zarośniętą ścieżką, obsadzoną cedrami.

- Niezłe miejsce na kryjówkę. W tych drzewach można by ukryć nawet samolot i nikt by go z drogi nie zauważył.

- Nie podoba mi się tutaj - mruknął Jake. Był naprawdę niespokojny. - Zbyt tu pusto. Może zostawimy auto i pójdziemy pieszo.

Za późno. Wyjechali już na niewielką polanę i znaleźli się przed mocno zrujnowaną chatą.



- Wygląda na tak samo opuszczoną, jak poprzednie - stwierdziła Zoe.

- No to znów masz szczęście - mruknął Jake i w tej samej chwili na ganku pojawił się jakiś mężczyzna. Nie miał, na szczęście, strzelby, ale patrzył na nich ze złością.

Zoe, nie zrażona jego miną, zatrzymała auto tuż przy ganku i uśmiechnęła się szeroko.

- O, nareszcie! - zawołała przez otwarte okno. - Ludzka istota! Już zaczynałam myśleć, że w tej okolicy są tylko myszołowy. No i martwe pancerniki - dodała, wdzięcząc się do mężczyzny.

Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Stał czujny na ganku i ani drgnął.

- Czego chcecie?

Zoe, jakby nie zauważyła jego wrogości, dalej paplała rozkosznie.

- O, widzi pan, chyba zgubiliśmy drogę! Bob zawsze mówi, że jestem taka roztrzepana, prawda, kochanie? - ze słodkim uśmiechem spojrzała na Jake'a. - Już godzinę temu powinniśmy być na grillu u Chambersów, ale nie możemy znaleźć ich rancza. Mój kochany Bob chyba ma rację. Mieliliśmy dokładną mapkę, ale zostawiłam ją w domu w San Antonio.

- Wróćcie na szosę i skręćcie w prawo - przerwał jej chłodno mężczyzna. - Chambersowie mieszkają niecały kilometr dalej.

- Naprawdę? Tak blisko? - zaszczębiotała Zoe. - Ależ jesteśmy głupi! Byłam pewna, że to jeszcze kawał drogi. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdybyśmy pana nie spotkali. Bob, podziękuj panu za pomoc.

Jake, choć w środku aż się skręcał, nachylił się przez jej ramię i mruknął coś do mężczyzny. Postanowił, że jak tylko wyjadą na szosę, udusi tę babę!

- No to ruszamy, zanim wszystko nam zjedzą - zaśmiała się Zoe. Pomachała radośnie i zawróciła w stronę szosy. - Jeszcze raz dzięki za pomoc.

- Kobieto, co ty wyprawiasz! - warknął Jake, ledwo odjechali kawałek i mężczyzna nie mógł ich już słyszeć. - Założę się, że w dzieciństwie bawiłaś się zapalkami, co?

Nie odrywając wzroku od drogi, Zoe uśmiechnęła się szelmowsko.

- Jak nie zapalisz zapalki, nic nie ugotujesz. Nie widzieliśmy żadnej stajni ani stodoły, a ta posiadłość, o ile dobrze pamiętam, ma zaledwie hektar. Gdyby ciężarówka tu była, na pewno byśmy ją zobaczyli.

Jake nie oglądał się do tyłu, ale czujnie wpatrywał w mijane drzewa.

- Prawdopodobnie. Czy ten facet jeszcze tam jest?

- Tak, stoi na ganku. - Zoe spojrzała we wsteczne lusterko. - O, a teraz już go nie widać - dodała, bo ścieżka mocno skrzyła w lewo.

Jake był wciąż spięty. Wiedział, że tak naprawdę odpręży się dopiero wtedy kiedy zakończą poszukiwania i wrócą do Austin.

- Nie bądź taka zadowolona z siebie - mruknął, kiedy usłyszał, że oddycha z ulgą. - Wiesz, że to mogło się źle skończyć! Skąd wiedziałaś, że tu w pobliżu jest ranczo Chambersów?

- Minęliśmy je, ale facet nie mógł o tym wiedzieć. Widząc jego poważną minę, Zoe parsknęła śmiechem. - No, Jake, przyznaj, że byłam niezła. Ten kretyń nie miał pojęcia, kim naprawdę jesteśmy.

- Nawet jeśli to prawda, i tak mi się nie podoba. Powinnaś wybrać jakiś miły i spokojny zawód - na przykład bibliotekarki. Wśród książek na pewno nie narażałabyś się na żadne niebezpieczeństwo.

I tu się mylisz, pomyślała Zoe. Wiedziała z doświadczenia, że wpadała w tarapaty nawet w żłobku. Taką już ma naturę.

Jake spojrzął na trzymaną w ręku listę, którą z dużym trudem udało im się zredukować o połowę.

- Wszystkie pozostałe farmy są bliżej granicy i przed zmrokiem tam nie dojedziemy. Chyba powinniśmy poszukać jakiegoś noclegu i zacząć znów jutro wcześniej rano. Nie wiem, jak ty, ale ja jestem wykończony.

Zoe też była skonana, ale na myśl o spędzeniu z nim nocy w hotelu, poczuła skurcz w żołądku. Wiedziała, że to głupie. Jake proponuje tylko znalezienie jakiegoś miejsca do spania i bynajmniej nie zamierza spać z nią w jednym łóżku. Przecież sam nie tak dawno powiedział, że ona wcale go nie interesuje. A mimo to pocałował ją tak, jakby jego życie od tego zależało. Właściwie powinna być zadowolona, tytko dlaczego to, co w tej chwili czuła, nie było niczym innym niż rozczarowaniem? I to w najczystszej postaci?

Bez słowa skręciła w stronę Leakey i wcale nie była zdziwiona, kiedy w tanim, staromodnym pensjonacie wziął dla nich dwa oddzielne pokoje.

Piątek był powtórką dnia poprzedniego. Tyle tylko, że w nocy żadne z nich nie spało dobrze i czas włókł się niemiłosiernie, kiedy metodycznie przeszukiwali kolejne posiadłości z listy. Rozmowa ograniczała się do spraw związanych z poszukiwaniami, co jeszcze bardziej podkreślało wagę tego, o czym nie mówili. Kiedy Jake oznajmił, że została im już tylko jedna posiadłość, za to najbardziej niebezpieczna - ranczo Lincolna niedaleko Del Rio, gdzie zazwyczaj poluje - oboje wiedzieli, że to ich ostatnia szansa. Tam albo nigdzie.

Zatrzymali się tylko raz, żeby zmienić się przy kierownicy i coś przekąsić, ale i tak było już późno, kiedy znaleźli się

przy bramie. Słońce chyliło się ku zachodowi i zrywał się zimny, północny wiatr.

Ale to nie zbliżający się chłodny front najbardziej niepokoił Jake'a. Minał bramę i po przejechaniu półtora kilometra zjechał na pobocze i zgasił silnik.

- Myślę, że powinniśmy sobie to darować - rzekł. Gdyby nagle powiedział jej, że jest winien, nie byłaby bardziej zdziwiona. Wiedziała, że coś go gryzie. Przez ostatnie pół godziny nie powiedział więcej niż dziesięć słów, a jego twarz z każdym mijanym kilometrem stawała się coraz bardziej ponura. Zoe myślała jednak, że on tylko obmyśla najlepszy sposób dostania się bezpiecznie na ranczo Lincoln.

- Dlaczego? To po co w ogóle tu przyjechaliśmy, skoro nie chcesz się nawet rozejrzeć?

On sam od paru kilometrów zadawał sobie to pytanie.

- Przypomniałem sobie dopiero w połowie drogi, że jutro jest pierwszy dzień sezonu polowań. A Lincoln uważa się za znakomitego myśliwego. Bardzo prawdopodobne, że jest tutaj ze swym towarzystwem.

- No i co? Oczywiście nie możemy podjechać prosto przed jego dom. I tak liczyliśmy się z tym, że ktoś może tu być, choćby i dozorca. Pójdziemy piechotą.

Jake z trudem stłumił przekleństwo.

- Czyś ty zwariowała? Myślisz, że pozwolę ci tak ryzykować?

- Pozwolisz mi? - powtórzyła z niedowierzaniem Zoe. - Nie masz tu nic do pozwalania. To moja praca.

A jeśli już mowa o ryzyku, to co powiesz o swojej sytuacji? Myślisz, że będę siedzieć z założonymi rękami i pozwolę ci pójść do sądu bez wystarczających dowodów na to, że cała sprawa została wyreżyserowana i wykonana przez Lincoln? - warknęła, wpatrując się w niego w zapadających ciemnościach. - Czy ty nic nie rozumiesz? Muszę zdobyć

wszystkie dowody, jakie się da, żeby ocalić twój tyłek. Musimy znaleźć tę ciężarówkę! A to jest jedyne miejsce, gdzie może być, bo wszędzie indziej już szukaliśmy. Naprawdę chcesz stąd odjechać?

Tak! chciał krzyknąć. Chciał, żeby była bezpieczna. Chciał mieć ją w swoich ramionach. Zaklął pod nosem, zapalił silnik i zawrócił w stronę rancza.

- Dobra. Ale to ja sprawdzę, a ty zostaniesz w aucie.

- Mowy nie ma! To ja z nas dwojga jestem zawodowym detektywem. Ja też idę, chyba że mnie związesz.

Jego mina powiedziała jej, że gotów jest to zrobić.

- Sam pójdę szybciej.

Chciała go zapytać, czemu tak się troszczy o jej bezpieczeństwo, skoro przez dziesięć lat robili wszystko, by się nie spotkać, ale bała się usłyszeć jego odpowiedź.

- Samotnie też możesz zginąć - odparła zdecydowanie, kiedy wjechał w gęste zarośla tuż przy bramie rancza i zgasił silnik. - Idę z tobą.

- Dlaczego? - Jake spojrzał jej prosto w oczy. - Dlaczego tak bardzo chcesz ryzykować, i to dla mnie?

Miała wrażenie, że czyta w jej oczach, więc z trudem przełknęła ślinę.

- To moja praca - odparła cicho.

- Czy to jedyny powód?

Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Odpowiedzi na to pytanie też się bała.

Odwróciła głowę i spojrzała na gęste zarośla i kępy dębów porastające ranczo Lincolna. W zasięgu wzroku nie było żadnych zabudowań, ale wiedziała, że kryją się gdzieś w mroku. Czytała w prasie, że właśnie tu, w eleganckich apartamentach, Lincoln podejmuje na polowaniach ważnych prezesów i senatorów.

- Nie wiemy, jak liczną ma tu służbę - powiedziała w końcu. - Dla jednej osoby może być zbyt niebezpiecznie. We dwoje będziemy się nawzajem osłaniać.

Miała rację, więc Jake z rezygnacją chwycił za klamkę.

- No, to ruszamy. Ale, na miłość boską, trzymaj się jak najbliżej mnie!

Zadowolona z tego małego zwycięstwa, Zoe wsunęła do kieszeni swój miniaturowy aparat fotograficzny, wyskoczyła z auta i cicho zatrzasnęła drzwi. Dołączyła do Jake'a przy otaczającym ranczo parkanie z drutu kolczastego. Miał on zniechęcać do ucieczki bydło, ale dla Jake'a nie stanowił żadnej przeszkody. Bez słowa przydepnął butem dolny rząd drutu, ręką ostrożnie uniósł górny i po chwili Zoe bezpiecznie znalazła się po drugiej stronie. Za chwilę i on tam przeszedł.

Kiedy od razu mocno wziął ją za rękę, spojrzała na niego zdziwiona.

- Muszę być pewien, że jesteś blisko - szepnął. - Chcę cały czas wiedzieć, gdzie jesteś. Uważaj.

Z tym ostrzeżeniem pociągnął ją za sobą w zarośla. Gałęzie smagały im twarze, kolce czepiały się ubrania, włosów, skóry. Choć starał się sobą osłaniać Zoe, nie na wiele się to zdało. Mimo że robiło się coraz ciemniej, nie chciał ryzykować i cały czas trzymali się zarośli. Biegająca w pobliżu wysypana żwirem dróżka byłaby dużo wygodniejsza, ale tam ktoś mógłby ich zauważyć.

W milczeniu wchodzili coraz głębiej na teren rancza.

Nagle znaleźli się na niewielkim pagórku, a u ich stóp, pośrodku polany wielkości trzech boisk do piłki nożnej, stała myśliwska chata. Był to odrestaurowany, stuletni wiejski dom o kamiennych murach, z zielonym dachem i patio, wychodzącym na olimpijskich rozmiarów basen. Otaczało go kilka mniejszych chat, jakichś szop czy składzików, w nieco gorszym stanie, za to bardzo dobrze oświetlonych.

- Cholera! - mruknął przez zęby Jake. Zoe nie mogła się z nim nie zgodzić.

- No cóż, nikt nie mówił, że będzie łatwo - szepnęła.

- Ale wiesz co? O tej porze większość ludzi siada do kolacji, więc chyba nie musimy się martwić. Jeśli Lincoln ma gości, wszyscy na pewno są w środku. No i służba też.

Na myśl o jedzeniu jej żołądek zareagował głośnym, bezczelnym burczeniem. Jake nawet się uśmiechnął.

- My też coś zjemy, jak tylko się stąd wydostaniemy.

- Rozglądał się dokoła, ale to, co widział, wyraźnie mu się nie podobało. - Jedynym miejscem do ukrycia są te budynki - zastanawiał się na głos. - Jak się do nich przemkniemy, to może uda nam się wejść tam od tyłu.

- I z domu nikt nas nie zauważy - dokończyła za niego Zoe. - Sprawdzimy, co w nich jest, i nikt nawet nie będzie wiedział, że tam byliśmy.

- Mówisz tak, jakby to był spacer po parku - mruknął, nie dzielając jej optymizmu. - Jak ja się mogłem dać ci na to namówić?

- Mam w tym wielką wprawę. - A poza tym nie mieliśmy innego wyjścia, dodała w duchu. - No, ruszajmy.

Dziesięć minut później stali już na skraju kępy drzew tuż przy największym z budynków. Dzielilo ich od niego jakieś dziesięć metrów, ale w tych okolicznościach wydawało się, że co najmniej trzysta. Przez chwilę stali nieruchomo i nasłuchiwali. Wiatr się wzmagał, gdzieś stukały poruszane nim drzwi. Nawet jeśli na terenie były psy, to na pewno spały sobie spokojnie w jakiejś ciepłej psiarni.

- Chyba nikogo tu nie ma - szepnęła Zoe. - Próbujemy?

Jake skinął głową i ruszył pierwszy. Ledwo jednak zrobił pierwszy krok, nie wiadomo skąd z ciemności wynurzyły się światła dzipa, zmierzającego zwirowaną drogą prosto na nich. Wiedząc, że za chwilę ich oświetli, Jake błyskawicznie padł

na ziemię, pociągając za sobą Zoe. W tym samym momencie auto przejechało zaledwie dziesięć metrów od nich, nawet nie zwalniając.

Wtuleni w siebie, dalej leżeli bez ruchu. Słyszeli trzask otwieranych i zamykanych drzwi, potem dobiegł ich głos Lincolna.

- No, w samą porę. Już myślałem, że stchórzyłeś. Nowo przybyły, najwyraźniej kierowca dżipa, tylko parsknął śmiechem.

- Akurat! Muszę wygrać od ciebie te tysiąc papierów. Jaką mamy prognozę?

- Zimno i pochmurno. Idealna myśliwska pogoda.

Wciąż rozmawiając, obaj mężczyźni weszli do domu i zatrzasnęli za sobą drzwi. Jake upewnił się, że Lincoln jest właśnie tu. Tak jak podejrzewał.

Usiadł wygodniej i przytulił do siebie Zoe. Tylko dlatego, że naprawdę zrobiło się zimno.

- Wszystko dobrze? - szepnął.

Porażona jego bliskością, była w stanie tylko skinąć głową. Było jej wręcz gorąco. Nie! Szybko wysunęła się z jego objęć.

- Musimy się rozejrzeć i jak najszybciej wracać do Austin - mówiła podniecona, unikając jego spojrzenia.

- Robi się późno, a czeka nas jeszcze długa droga.

Jake w milczeniu wpatrywał się w nią w ciemności. Wiedział, co się stało. Wiedział, że na jedną bardzo krótką chwilę zapomniała o grożącym im niebezpieczeństwie. Że marzyła tylko, by być w jego ramionach i całować go. Tak jak on. Nie!

- No to rzeczywiście ruszajmy, zanim znów przyjedzie jakiś spóźniony gość - mruknął, zły na siebie, ale i na nią.

Jeszcze raz szybko rozejrzał się dokoła. Wszędzie było ciemno i cicho. Kilkoma szybkimi susami przebiegł te kilka



metrów dzielących ich od najbliższej szopy i z bijącym sercem czekał, aż Zoe dołączy do niego.

Drzwi do szopy, o dziwo, nie były zamknięte. Klamka ustąpiła już przy lekkim nacisku. Jake puścił Zoe pierwszą, potem wsunął się sam do ciemnego wnętrza i zamknął drzwi.

- Poczekajmy chwilę, aż nasze oczy przywykną do ciemności - szepnął.

- Nie trzeba, mam przy kluczach miniaturową latarkę.

- Zoe szukała jej w kieszeni kurtki.

W szopie nie było okien, więc nie musieli się bać, że ktoś zobaczy światło. Zoe włączyła latarkę, omiotła nią wnętrze i... oboje aż podskoczyli. Tuż przed sobą mieli ciężarówkę dokładnie tej samej marki, co ciężarówka Jake'a. Tyle tylko, że pomalowaną na czarno. Jego - i ta wykorzystana do kradzieży konia Lincolna - były białe i na drzwiach miały wyraźne żółto - czerwone logo jego stajni.

- Widzisz, nic z tego - stwierdził z rezygnacją Jake.

- Nie bądź takim pesymistą. - Zoe szybko podeszła do auta. - Na pewno zaraz po kradzieży ją przemalował. Masz jakiś nóż?

Nie spodziewając się zbyt wiele, Jake wyjął z kieszeni scyzoryk i przykucnął przy jednym z kół. W świetle latarki Zoe poskrobała wnętrze nadkola. Spod czarnego lakieru wyrzwał biały.

- Mamy go!

- A to drań! - Jake nie wierzył własnym oczom. - Aż nie mogę w to uwierzyć.

- Spróbuj jeszcze na drzwiach, tam gdzie powinno być logo. Nasze dowody muszą być nie do zbicia. Im więcej, tym lepiej.

- Dowie się, że tu byliśmy - zaniepokoił się nagle Jake.

- Ale nas już tu nie będzie. Poczekaj, zrobię tymczasem kilka zdjęć.

Podawała mu latarkę, wyjęła aparat i sprawdzwszy, czy działa flesz, obfotografowała ciężarówkę ze wszystkich stron - z przodu i z tyłu, żeby widać było tablice rejestracyjne, drzwi, na których Jake odsłonił swe logo, a także numer silnika pojazdu.

- No, to powinno wystarczyć - oznajmiła usatysfakcjonowana.

Jake aż miał ochotę krzyknąć z radości, przyciągnąć ją do siebie i pocałować, a potem zeszkrobać z ciężarówki całą farbę i zobaczyć minę Lincolna, kiedy to odkryje. Zamiast tego wziął tylko Zoe za rękę i ruszył ku drzwiom.

- Chodź, zmywamy się.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jake i Zoe ostrożnie wysunęli się z szopy i oparli o jej ścianę. Przez moment stali nieruchomo, czekając, aż uspokoją się ich oddechy.

Nie musiał patrzeć na nią, by wiedzieć, że jest równie podniecona, jak on. Trzymając ją za rękę, chciał wziąć ją w ramiona i pocałować, chciał śmiać się na głos i krzyczeć z radości, a potem pójść triumfalnie do tej cholernej chaty, kopnięciem otworzyć drzwi i zobaczyć zaskoczoną twarz Lincolna.

Niestety, nie byli jeszcze bezpieczni. Czekala ich przeprawa przez ciemny las. Drogą byłoby oczywiście szybciej, było to jednak zbyt ryzykowne.

- Gotowa? - spytał prawie niesłyszalnym szeptem.

Znów ostrzegawczo ścisnął jej rękę. Błyskawicznie oderwali się od metalowej ściany szopy i ruszyli ku drzewom. Dzieliło ich od nich zaledwie kilkadziesiąt metrów, ale równie dobrze mogły to być kilometry. Zoe miała wrażenie, że każda z jej nóg waży co najmniej tonę. Poruszała się jak na zwolnionym filmie. Jeszcze dziesięć metrów. Dziesięć metrów i znikną w ciemności.

Właściwie nie wiadomo, kto był bardziej zaskoczony tym, co stało się później - ona i Jake, czy strażnik, który nagle wyłonił się zza węgła szopy. Jeszcze przed sekundą byli pewni zwycięstwa, a teraz wiedzieli tylko jedno - są w poważnych tarapatach.

Na ich widok strażnik stanął jak wryty, otworzył usta i wytrzeszczył oczy

- Biegnij! - rzucił Jake i pociągnął za sobą Zoe.

- Hej! Stać, bo strzelam! - usłyszeli za sobą, kiedy strażnik zorientował się, co się dzieje.

Mieli na sobie ciemne kurtki i kryły ich ciemności, więc mężczyzna nie mógł ich widzieć. Mimo to biegli jak szaleni

poprzez smagające im twarze chaszczę. Na szczęście nie musieli się już bać, że narobią hałasu.

Nagle jakiś kaktus wbił Zoe ostry kolec w kostkę. Krzyknęła z bólu i chwyciła się za nogę. Byłaby upadła, gdyby Jake nie złapał jej w ostatniej chwili.

Dyszząc ciężko i z trudem powstrzymując płacz, przywarła do niego całym ciałem, wdzięczna za tę chwilę odpoczynku.

- I... i... dą za nami. Pppo... posłuchaj.

Nie musiał nasłuchiwać. Ze wszystkich stron dochodziły odgłosy naprędce zorganizowanej pogoni. Słysząc było groźne przekleństwa, trzask, w ciemnościach błyskały latarki. A w dodatku Lincoln mógł wysłać kogoś na szosę, tam, gdzie zostawili auto.

- No, maleńka, musimy ruszać - rzekł. - Jeszcze tylko kawałek. Jesteśmy już w połowie drogi.

W połowie? Dopiero w połowie? chciała krzyknąć Zoe, Nagle gdzieś w oddali zaszczekał pies. Najwyraźniej wyczuł ich zapach.

- O Boże! Mają psy? - Zoe oblała się zimnym potem.

- Cholera! - zaklął Jake. - Za tą szopą musieli mieć psiarnię. No, słonko, koniec przerwy. Mamy mało czasu.

Omijając ogromną kępę kaktusów, pociągnął ją za sobą.

Dopiero teraz zrozumieli, co musi czuć osaczona zwierzyna. Musieli biec, bo nie mieli się gdzie ukryć. Trzeba było przede wszystkim zmylić psy. Za każdym razem jednak, kiedy wydawało się, że już tak się stało, słyszeli szczekanie i pogoń zaczynała się od nowa.

Zoe wiedziała, że nigdy nie zapomni tego strachu, łomotania serca, przejmującego klucia w boku. Biegła długo, ale czuła, że już dalej nie może, a potem jeszcze znalazła siły, choć była zmęczona i nie chroniła nawet twarzy przed kolczastymi gałęziami.

A psy szczekały coraz bliżej.

Jake spojrział na nią z niepokojem. Widział, że słabnie, że chwieje się na nogach. A do auta wciąż było jeszcze ponad czterdzieści metrów.

- Już niedaleko, słonko - szepnął, zwalniając nieco. - Naprawdę. Już nawet widzę nasze auto.

Oboje wiedzieli, że to nieprawda, ale błagalny ton jego głosu zrobił swoje. Ostatkiem sił Zoe ruszyła do przodu, ignorując protesty swych obolałych mięśni,

Płot pojawił się tak nagle, że prawie na niego wpadła. Potem po prostu wpatrywała się w niego jak sparaliżowana. Na szczęście Jake zrobił, co należało. Uniósł drut kolczasty na tyle, że mogła pod nim przejść.

Jeszcze kilka metrów szalonego biegu i mieli przed sobą swą ciężarówkę.

Zoe wsunęła się do niej natychmiast, gdy Jake otworzył jej drzwi, i bezwładnie opadła na fotel. Jake usiadł za kierownicą i od razu włączył silnik. Ułamek sekundy później byli już na drodze wiodącej do Del Rio.

Chciałaby wierzyć, że są już bezpieczni, wiedziała jednak, że Lincoln ma zbyt wiele do stracenia, by pozwolić im wymknąć mu się z rąk.

- Będą nas gonić - wyjąkała, kiedy w końcu udało jej się złapać oddech.

Jeśli miała nadzieję, że Jake się z nią nie zgodzi, rozczarowała się.

- Lincoln nie ma innego wyjścia - przyznał po prostu.

Spojrzął we wsteczne lusterko i ujrzał światła reflektorów, które nagle pojawiły się za nimi. Były coraz bliżej. Zaklął głośno, mocniej nacisnął gaz i modlił się, by ciężarówka to wytrzymała.

- Zapnij pas - rzucił krótko. - Są za nami. Drżącymi palcami Zoe wykonała jego rozkaz i w tej samej chwili goniący ich pojazd omal ich nie staranował.

- Jake!

- Trzymaj się mocno!

Jake nie odrywał wzroku od potężnego, trzytonowego dżipa. Przyspieszył, ale po chwili goniący ich kierowca zrównał się z nim i próbował zepchnąć z szosy. Potem wyprzedził ich, zawrócił i jechał prosto na nich, oślepiając potężnymi reflektorami.

- Uwaga!

Miał tylko ułamek sekundy na reakcję. Nacisnął hamulce i jednym gwałtownym ruchem kierownicy zjechał z drogi. Zapiszczały opony, gałęzie stuknęły w szyby. Koleina, w którą wpadło lewe przednie koło, pojawiła się nie wiadomo skąd. Kryły ją ciemności, więc zauważył ją już za późno. Kierownica wysunęła mu się z rąk, auto wykonało niespodziewany skręt w lewo i uderzyło z impetem w drzewo.

Zapadła cisza, ostra i pulsująca. Przerwało ją tylko przekleństwo Jake'a. A po chwili minął ich rozpędzony dżip i zniknął w ciemnościach. Zadowolony z siebie jego kierowca w ogóle nie zainteresował się ich losem.

A więc to już koniec, pomyślała oszołomiona Zoe. Udało się. A potem zaczęła się trząść i szlochać.

Jake jeszcze raz przeklął drania, który próbował ich zabić, potem odpiął jej pas i wziął ją w ramiona.

- No już, malutka. Jesteś bezpieczna. Już dobrze.

- Wwiiem... wwiiem, ale...

Nagle stukanie w szybę od strony Jake'a wyrwało ich z odrętwienia.

- Hej, tam! - Jakiś przerażony farmer patrzył na nich przez okno. - Ten kretyn omal nas wszystkich nie pozabijał! I nawet się nie zatrzymał!

Jake oczywiście bardzo się z tego cieszył. Odsunął szybę i zapewnił mężczyznę, że nic im się nie stało.

- Trochę nas tylko wytrzęsło. Walnęliśmy w drzewo, ale mam nadzieję, że to nic poważnego.

Farmer bez przekonania spojrzął na pociętą maskę.

- Jedźcie do Del Rio? Może pojedziecie za mną? Tak na wszelki wypadek, gdybyście się rozsypali? Jest strasznie zimno, a o tej porze mało kto tu jeździ.

Jake wahał się. Ponad ramieniem mężczyzny spojrzął na ciemną, pustą drogę, którą odjechał ich prześladowca. W każdej chwili mógł zjawić się znowu, a w tym stanie jego auto nie miało z nim żadnych szans.

- Dziękuję - rzekł w końcu. - Tak chyba będzie rozsądnie.

- Właściwie to ja powinienem wam podziękować - mruknął farmer. - Gdybyście nie zjechali z drogi, musiałbym. .. no, lepiej nawet o tym nie myśleć. W zamian mogę was przynajmniej bezpiecznie doprowadzić do miasta. Wyjedźcie na szosę, a ja ruszę za wami.

Dotrzymał słowa i po kilku minutach jechali już szosą do Del Rio. Jake nie wiedział, jak bardzo zniszczone jest auto, jechał więc niewiele ponad trzydzieści na godzinę. Miał wrażenie, że wlecze się jak ślimak. Trwało to tak długo, że kiedy ujrzeli światła miasta, był pewien, że przejechali co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Wypatruj jakiegoś czynnego warsztatu - poprosił Zoe, kiedy wjechali już do Rio. - Silnik jest tak gorący, że boję się, że poszła chłodnica.

Mówił tak poważnie, że nie ośmieliła się nawet uspokajać go. Wyraźnie nie miał ochoty na pogawędki.

Szeroko otwartymi oczami rozglądała się dokoła. Była ledwo siódma i miasto bawiło się w najlepsze. W piątkowy wieczór nie było to nic dziwnego, ale nigdy w życiu nie widziała naraz tylu ciężarówek i jeepów. Wszystkie ulice były nimi wręcz zapchane.

- Wątpię, czy znajdziemy coś otwartego o tej porze - zaczęła, wpatrując się w neony. - Większość takich miejsc zamyka się o piątej... stój! Tam po lewej... czy to nie warsztat? Wygląda na czynny.

Rzeczywiście. Jake zauważył szeroko otwarte drzwi i odetchnął z ulgą. Pomachał w podziękowaniu eskortującemu ich farmerowi i wjechał na podjazd przed Warsztatem Dana, jak głosił napis. Wiedział już, że w tym stanie auto niedaleko ich zawiezie. Spod maski buchały kłęby pary.

Mechanik, który wyszedł im na powitanie, był wysoki, szczupły i ubrany w zatuszczony kombinezon z imieniem Dan wyhaftowanym na kieszonce. Widać było, że ma za sobą ciężki dzień, na ich widok uśmiechnął się jednak przyjaźnie i serdecznie.

- Widzę, że nie jest dobrze - rzekł, wskazując na dymiącą maskę. - Co się stało?

- Mieliśmy małą potyczkę z drzewem - odparł Jake.

- Ale nie jestem pewien, kto wygrał.

- No to popatrzmy. - Dan podszedł do auta i otworzył maskę. Spod silnika wypłynął jakiś płyn, a kłęby pary otoczyły głowę mechanika. Szybko postawił diagnozę.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że wygrało drzewo - rzekł, wycierając ręce w czerwoną szmatę. - Trzeba wymienić chłodnicę.

Jake nawet nie mrugnął okiem. Tego właśnie się obawiał. Skąd wziąć na to pieniądze?

- Ma pan jakąś w zapasie?

- Nie. Ale zdobędę... rano.

- Rano! - powtórzyła jak echo Zoe. - Ale...

- Wszystkie sklepy z częściami są już nieczynne - przerwał jej spokojnie mechanik. - Ja też miałem zamykać.



Oznaczało to, że spędzą noc w Del Rio. Serce zaczęło jej szybciej bić, spojrzała na Jake'a. Jego twarz była jak z kamienia.

- No to chyba powinniśmy poszukać hotelu.

- Mam w kantorku telefon, gdyby chciała pani skorzystać - zaoferował Dan. - W górnej szufladzie po prawej jest książka telefoniczna. Myślę, że powinna pani od razu zacząć dzwonić. Jutro zaczyna się sezon polowań i miasto pęka w szwach.

Zoe nie trzeba było dłużej namawiać.

- Zaraz wrócę - rzuciła.

- Na jaką sumę mam się przygotować? - zwrócił się Jake do mechanika, kiedy tylko zniknęła za drzwiami.

Dan po chwili namysłu podał sumę, którą Jake musiał uznać za umiarkowaną. Mimo to o wiele przewyższała czterdzieści dolarów, które miał w kieszeni.

Zaklął pod nosem i przeczesał palcami włosy. Jak chętnie zacisnąłby ręce na gardle Lincolna. Tylko na pięć minut. Tyle by wystarczyło, by drań zapłacił mu za piekło, w jakie zmienił jego życie.

- No to mamy problem - przyznał ponuro. W kilku słowach przedstawił Danowi skrót wydarzeń z minionych sześciu tygodni. - Mam w kieszeni tylko czterdzieści dolarów na powrót do domu - zakończył. - Mogę panu dać połowę plus mój zegarek. - Łącznie warte były mniej więcej tyle, co koszt naprawy. - Jeśli nie chce pan zegarka, niech go pan zatrzyma, aż wrócę do Austin i w przyszłym tygodniu przyślę panu resztę. Może mi pan zaufać.

Mechanik nie od razu zapewnił go, że takie zabezpieczenia nie są konieczne - miał na utrzymaniu dzieci i kredyt do spłacenia. Nie mógł świadczyć usług za darmo. Z drugiej zaś strony zawsze jakoś wyczuwał oszustwo. - Niech pan zatrzyma zegarek - rzekł w końcu - i przyślę mi resztę

pieniędzy, jak będzie mógł. Ja też bywałem w tarapatach i wiem, jak to jest.

A więc zaufał mu. Jake już nie pamiętał, kiedy ostatnio coś takiego mu się zdarzyło.

- Dzięki - rzekł. - Jestem panu bardzo wdzięczny.

Kiedy Zoe wyszła z kantorku, rozmawiali jak starzy przyjaciele, a ona była wściekła.

- Co się stało? - zaniepokoił się Jake.

- To nie do wiary! Wszystkie hotele są pełne! Nie ma wolnego miejsca nawet w schowku na szczotki!

Dan z trudem opanował śmiech. Jeszcze nigdy nie widział kobiety tak oburzonej!

- Ostrzegałem panią. Pierwszy dzień sezonu myśliwskiego to tutaj wielkie wydarzenie. Większość łóżek zarezerwowano już wiele tygodni naprzód.

- To co mamy zrobić? Spać w samochodzie?

- A zajazdy? - podsunął Jake. - Albo pensjonaty? Przecież musi coś być.

Zoe ponuro pokręciła głową.

- Jest tylko kilka i też zajęte. Recepcjonista w The Best Western radził spróbować w Eagle Pass, ale wątpię, czy to coś da. Zresztą jak byśmy się tam dostali?

- Możecie przespać się w pokoju przy garażu - zaproponował Dan. - Nie umywa się do hotelu, ale ma kanapę, która może służyć za łóżko. Obok jest nawet łazienka z prysznicem.

Do Zoe dotarło tylko jedno słowo. Łóżko. W liczbie pojedynczej. Serce zaczęło jej szybciej bić. Szeroko otwartymi oczami spojrzała na Jake'a.

Wiedział, o czym myśli, bo i jego to samo przeraziło.

Cholera jasna! Czy będzie w stanie spać z nią w jednym łóżku, wiedząc, że robi to tylko z powodu nie sprzyjających

okoliczności, a nie dlatego, że Zoe pragnie go tak bardzo, jak on jej? Nie, nie da rady.

Wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia.

Nie patrząc na nią, zwrócił się do Dana.

- Dzięki, chętnie skorzystamy.

- No, dobra - rzekł kilka minut później Dan, rozglądając się z satysfakcją po niewielkim pokoju, w którym rozstawił łóżko i włączył piecyk. - Prześcieradła są czyste, ale mogą trochę pachnieć stęchlizną. Na kanapie nikt nie sypia, a ja, jak chcę się czasem wyciągnąć, nawet ich nie wyjmuję.

Zoe stała w progu jak wmurowana. Czuła za sobą Jake'a i patrzyła na łóżko. Wiedziała, że czeka ją długa, ciężka noc.

- Na pewno wszystko będzie dobrze - powiedziała wbrew sobie. - Nie wiem, jak byśmy sobie poradzili bez pańskiej pomocy.

Mechanik tylko wzruszył ramionami.

- Pokój i tak stoi pusty. Niestety, jest problem z oknem. Będziecie musieli zostawić je trochę uchylone, bo przy włączonym piecyku potrzebna jest wentylacja. Tak jest bezpieczniej.

- Nie ma sprawy - zapewnił go Jake. - Jak na jedną noc dość już mieliśmy rozrywek. Będziemy ostrożni.

Zoe nie patrzyła na niego, ale czuła na sobie jego wzrok i wiedziała, że nie mówi wyłącznie o piecyku. Żałowała, że nie ma takiej pewności siebie, jak on. W co ja się wpakowałam? - pomyślała.

Wkrótce zostali sami, w głuchoj, pulsującej ciszy, z czekającym na nich łóżkiem, na co bynajmniej nie była jeszcze gotowa.

- Wiesz co? - zaczęła z udawaną swobodą, choć czuła, że się czerwieni. - Chyba powinniśmy pomyśleć o jakimś jedzeniu. Umieram z głodu! Zauważyłam, gdy tu jechaliśmy,

że zaraz za rogiem jest bar. Mogą być hamburgery czy wolałbyś coś innego?

Jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej mógłby w tej chwili myśleć. Wyobrażał sobie ich w tym łóżku... ich nagie ciała... ich pieszczoty... ich... Cholera!

- Hamburgery mogą być - wyjąkał. - Dan nie zostawił nam klucza, więc będę musiał po prostu pójść i coś przynieść. Może tymczasem weźmiesz prysznic?

Zniknął, zanim zdążyła mu powiedzieć, na co ma ochotę. Była tak wykończona, że z jękiem opadła na łóżko i... zaraz zerwała się z niego jak oparzona.

Patrząc na białe prześcieradła, stłumiła histeryczny śmiech. Co jej się stało? Zachowuje się jak nastolatka przed randką z najprzystojniejszym chłopakiem w szkole. Przecież to zupełnie do niej niepodobne. Wielkie rzeczy, że w wyniku splotu okoliczności muszą spędzić noc w jednym łóżku!

Przez resztę wieczoru co chwila musiała sobie to przypominać. Już była pewna, że udało jej się zapanować nad swymi uczuciami, ale kiedy wyszła spod prysznicza i zastała w pokoju Jake'a, wystarczyło jedno jego spojrzenie, a zrobiło się jej gorąco. Była przyzwoicie ubrana we flanelową koszulę i szlafrok, a jednak zachowała się tak, jakby przyłapał ją nagą. I tak dokładnie się czuła.

Z trudem oderwała od niego oczy i skoncentrowała się na jedzeniu.

- Jedzenie! Nareszcie! Żołądek wywrócił mi się już na lewą stronę. No, zaczynamy.

Wiedziała, że papie jak idiotka, więc szybko przysunęła krzesło i usiadła przy stoliku. Jadła, ale nie czuła smaku.

Wciąż było za wcześnie, by kłaść się spać, ale w pokoju nie było ani telewizora, ani radia. Niczego, co mogłoby odciągnąć ich uwagę od tego, co nieuniknione.

Zdesperowana Zoe wyciągnęła talię wysłużonych kart, które czasem zabierała ze sobą w podróż. Długie godziny czekania nie wiadomo na co były nieodłącznym elementem pracy detektywa.

Karty podziały - ale tylko na trochę. Dopóki nie zauważyła, że ilekroć podnosi wzrok, widzi wpatrującego się w nią Jake'a.

Nie była już w stanie dalej udawać, że nic się nie dzieje. Rzuciła karty na stół i wstała.

- Jestem zmęczona - oznajmiła. - Ty na pewno też. Ponieważ moim zdaniem ta kanapa jest dla nas dwojga za mała, ty śpij tutaj, a ja zestawię sobie krzesła.

Jeśli spodziewała się, że Jake powita jej propozycję z ulgą, myliła się.

- Nie wygłupiaj się - rzekł. - Nie rozumiem, czemu nie możemy spać razem.

- Ale...

- Chyba że... chyba że boisz się, że nad sobą nie zapanujesz. - Jego oczy wpatrywały się w nią z lekką drwiną. - Wtedy rzeczywiście byłby problem. Niestety, nie jestem z kamienia.

Spojrzała na niego z oburzeniem, ale ciemny rumieniec osłabił jego siłę.

- Nie musisz się bać o swoją cnotę. - Teraz i w jej głosie pojawiła się ironia. - Panuję nad sobą znakomicie.

- Miło mi to słyszeć. Problem rozwiązany. Możesz zgasić światło. Idę pod prysznic.

Nie oglądając się za siebie, wszedł do łazienki, co jeszcze bardziej ją zezłościło. Chciała nawet rzucić za nim butem. Szybko zgasiła górne światło, zrzuciła szlafrok i wsunęła się pod prześcieradło. Postanowiła, że kiedy Jake wróci, będzie spała jak zabita.

I nawet powinna, bo była tak zmęczona, że czuła, że mogłaby zasnąć na stojąco. Kiedy jednak wyciągnęła się pod rzeczywiście pachnącymi pleśnią prześcieradłami, miała wrażenie, że czuje wszystkie sprężyny kanapy. A w dodatku Jake śpiewał pod prysznicem, mimo że zupełnie nie miał słuchu!

Ułożyła się najwygodniej jak się dało i wtuliła głowę w poduszkę. Wciąż jeszcze nie spała, kiedy dziesięć minut później Jake wyszedł z łazienki. Nie zapalił światła, a ona nie otwierała oczu, nie wiedziała więc, co on ma na sobie, dopóki nie usłyszała, jak zdejmuje dżinsy i kładzie się obok niej. Dopiero wtedy odetchnęła.

Jake miał wrażenie, że leży tak już wiele godzin. W ciemnościach słyszał jej równy oddech, czuł jej zapach.

I nawet nie odważył się poruszyć. Bo wtedy pewnie już nie umiałby nad sobą zapanować.

Był jednak tak wykończony, że zasnął, sam nie wiedząc kiedy.

We śnie stało się to, co pewnie nigdy nie stałoby się na jawie. Kiedy nad ranem w pokoju zrobiło się zimno, instynktownie wtulili się w siebie. I tak już zostali.

- Jake? - obudził go jej pełen niepokoju szept. Zaspany, wtulił tylko twarz w jej ramię.

- Hmm?

- Jak...? - Zaskoczona ostrością własnego głosu, z trudem przełknęła ślinę. Nie była jednak w stanie zebrać myśli, kiedy jej tak dotykał... tak jakby czekał na to od lat. - Jjjak to się stało, że leżymy tak...

Jake uśmiechnął się do siebie i musnął językiem jej szyję. Kiedy wygięła się w łuk, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wcale nie był zdziwiony.

- Zepchnięto nas z szosy, nie pamiętasz?

Chciała mu powiedzieć, że w tej chwili, w jego ramionach, nie pamięta już niczego.

- To chyba nierozsądne - wyjąkała tylko.

- Wiem. - Wsunął rękę pod jej koszulę i pieścił sztywny sutek nagiej piersi. - Jeszcze tylko chwilę.

Chwilę... Nie, nie trwało to chwilę. Ani nawet dwie czy trzy.

Było tak jak przed dziesięciu laty.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Na dworze słońce wyszło już znad horyzontu. Noc ustąpiła miejsca zimnemu, szaremu dniowi. Wiatr nadal świszczął, ale Zoe, wtulonej w ramiona Jake'a, było wszystko jedno. Uśmiechnęła się do siebie i z radością wdychała jego zapach. Jak mogła zapomnieć jak to jest, kiedy leży się tak z nim po nocy kochania? Wystarczyło, by jej dotknął, a już zapominała o całym świecie.

Bo go kocha. Nadal.

Nie, to niemożliwe, przeraziła się i zeszywniała. Serce jej zamarło. Nie, to nie miłość. To tylko pożądanie. Na pewno!

Przecież powinna pamiętać, że kiedy przed dziesięcioma laty już raz oddała mu swoje serce, odrzucił je. Nigdy więcej nie pozwoli mu tak się skrzywdzić.

- O Boże - szepnęła.

Jake był tak blisko niej, że czuł, jak po kolei tężeją jej mięśnie. Zrozumiał, że wraca do rzeczywistości. Nie! chciał zawołać. Nie myśl. Nie analizuj bez końca tego, co między nimi zaszło. Kochali się; pragnęła go tak samo mocno, jak on jej i nie ma czego żałować.

Za późno. W miejsce radości i szczęścia pojawił się żal i smutek. Wiedział, że ją traci. Objął ją jeszcze mocniej.

- Musimy porozmawiać.

Nie! Nie chciała rozmawiać, nie teraz, kiedy leży naga w jego ramionach. Stłumiła szloch, wysunęła się z jego objęć i zanim zdążył ją zatrzymać, wstała z łóżka.

- Co jest?!

Unikając wyciągającej się ku niej ręki, Zoe narzuciła szlafrok i stanęła w bezpiecznej odległości. Czowała, że się rumieni i była na siebie wściekła.

- Nie ma o czym rozmawiać - odparta cicho, owijając się szlafrokiem.

Te obojętne słowa były dla niego zaskakujące.



- A może o tym, co stało się w tym łóżku? Kochaliśmy się, jeśli tego nie zauważyłaś.

- To nie było „kochanie”!

- Nie? No to co?

Jego głos był zimny jak lód. Do oczu Zoe napłynęły łzy. Gorączkowo rozglądała się za swym ubraniem.

- Po prostu seks.

- Spójrz mi w oczy i powiedz to jeszcze raz. No? Próbowała. Naprawdę próbowała. Ledwo jednak spojrzała, wróciło wspomnienie jego pieszczot i pocałunków.

- Jednorazowa przygoda - zdobyła się na odpowiedź. - Nazwij to, jak chcesz. W każdym razie to był błąd.

- Czyżby? Chciałabyś, żebym odświeżył ci pamięć?

- Nie!

Jake nie zwrócił uwagi na jej protest. Odrzucił przykrycie i z zaciśniętymi ustami, nie zważając na swą nagość, rzucił się w jej stronę.

Zoe pisnęła przerażona i chciała uciec do łazienki, ale nie zdążyła.

Chwycił ją, zanim zrobiła drugi krok. Ujął ją pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Nigdy więcej nie patrz na mnie w taki sposób. Wiesz, że nie mógłbym cię skrzywdzić!

Wiedziała. Teraz już nie była w stanie powstrzymać napływających jej do oczu łez. Pozwoliła im płynąć po policzkach szybkimi strugami..

- Nie mogę o tym teraz rozmawiać - wyjąkała. - Proszę...

Jake patrzył na jej zalaną łzami twarz i czuł, jak opuszcza go gniew. Zawsze ulegała emocjom, łatwo się śmiała, łatwo wpadała w gniew, a jeszcze szybciej ulegała namiętności. Ale łzy? Nigdy nie widział jej płaczącej, nawet wtedy, kiedy się rozstawali i ranili ostrymi słowami. Stała z nim twarzą w twarz i bez mrugnięcia okiem powiedziała, co o nim myśli. Z

gniewem umiał sobie radzić. Ale ze łzami? Jak, do jasnej cholery, ma sobie poradzić ze łzami?

Poczuł jakiś dziwny skurcz w żołądku. Choć raczej wolałby nią potrząsnąć, jego palce mimo woli delikatnie i czule pogładziły jej policzki.

- Dziecinko, proszę, nie płacz!

- Wcale nie płaczę! - Zoe pociągnęła nosem.

- No, to chyba jest tu gdzieś jakiś przeciek - uśmiechnął się lekko. - Masz całą twarz w wodzie, a jeśli nie zauważyłaś, w tym pokoju jest zimno jak w psiarni. Nie uważasz, że powinniśmy wrócić do łóżka, zanim wszystko ci zamarznie?

Chciała. O Boże, jak bardzo chciała! Ale wtedy znów by się kochali, robiąc kolejny błąd.

- Nie... nie mogę.

Chciał dalej ją namawiać, ale w tej chwili usłyszał klucz, przekręcany w głównych drzwiach warsztatu. Nie miał wyboru, musiał ją puścić.

- Tylko nie myśl, że to koniec - ostrzegł, kiedy zamykała za sobą drzwi łazienki. - Porozmawiamy, jak tylko stąd wyjedziemy.

Jedyną odpowiedzią był szum prysznic.

Nawet jeśli Dan zauważył ich napięcie, nie powiedział na ten temat ani słowa. Wpadł do garażu, podkręcił ogrzewanie, postawił na stole kawę i bułeczki, które przygotowała jego żona, i traktował ich jak starych przyjaciół. Wiszący na ścianie cennik oznajmiał: „Robocizna: \$35 za godzinę; Obserwowanie: \$50 za godzinę”. Przygotował im krzesła i pozwolił patrzeć za darmo, a sam zajął się ciężarówką Jake'a. Po drodze do pracy wstąpił na pobliskie złomowisko starych samochodów i znalazł tam całkiem niezłą chłodnicę.

Wciąż zdenerwowana, Zoe wolałaby posiedzieć sama w kantorku. Powstrzymało ją ostre spojrzenie Jake'a. Ani się ważyła znów mnie unikać! Dumnie uniosła brodę do góry, posłusznie

usiadła na krześle i próbowała skupić się wyłącznie na pracy Dana.

Po dwóch minutach wiedziała, że nic z tego nie będzie. Jake nawet na nią nie patrzył, nie próbował też w żaden sposób włączyć jej do rozmowy, ale potrafiłaby z najdrobniejszymi szczegółami opisać sposób, w jaki siedział: z jedną nogą opartą o kolano drugiej, materiał szarej bluzy, opinającej muskularne ramiona, dwudniowy zarost na jego mocnej szczęce. Jeszcze chyba nigdy nie wyglądał tak bardzo seksownie.

A w dodatku na sobie czuła jego zapach i smak pocałunków.

Przerażona zerwała się na nogi, ale od razu przygwoździł ją spojrzeniem. Żaden jeszcze mężczyzna tak łatwo nie czytał w jej myślach. Dłużej już nie mogła tego wytrzymać. Musiała wyjść gdzieś na powietrze, z dala od niego, oprzytomnieć, odzyskać siły, które pomogłyby jej stawić mu czoło. Ignorując go, zwróciła się do mechanika pochylonego nad ciężarówką.

- Jest tu gdzieś w pobliżu kiosk? Albo sklep spożywczy? Kupiłabym gazetę.

- Taa - mruknął Dan, nie odrywając się od pracy. - Trzy przecznice na północ. Sklep Pattersona.

Trzy przecznice w tę i trzy z powrotem na zimnym powietrzu, pomyślała z ulgą Zoe. Wystarczy, żeby się uspokoić i uporządkować myśli. Może po powrocie będzie w stanie przebywać z Jakiem w tym samym pomieszczeniu, nie marząc cały czas, by znaleźć się w jego ramionach.

- Pójdę po kurtkę - rzuciła.

Wzięła z pokoju ubranie i zajrzała jeszcze do warsztatu, żeby powiedzieć, że niedługo wróci. Leżący pod ciężarówką Dan tylko pomachał w jej stronę. Nawet tego nie zauważyła. Widziała tylko oczy Jake'a. Mówiły jej wyraźnie, że ucieczką niczego nie osiągnie.

Choć na dworze wiał lodowaty wiatr, chętnie zostałaaby tam dłużej. Ale ile czasu można kupować gazetę? Pół godziny później była już z powrotem w garażu. Próbowała skoncentrować się na gazecie, ale wystarczyło, by Jake choć ruszył palcem, a ona drętwiała. I w dodatku znakomicie zdawał sobie z tego sprawę.

Marzyła, by jak najszybciej znaleźć się w domu... sama. Niestety, Dan dopiero po dwóch godzinach wytarł ręce w swą ulubioną, niegdyś czerwoną szmatę.

- No, to powinno wystarczyć - oznajmił. - Zapal go, Jake. Zobaczymy, jak chodzi.

Kiedy silnik zaskoczył za pierwszym razem, Jake uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia. Siedział za kierownicą i wpatrywał się we wskaźnik temperatury silnika, podczas gdy Dan gmerał jeszcze pod maską. W końcu wskazówka zatrzymała się w prawidłowej pozycji.

- Super - oznajmił, kiedy na znak mechanika zgasił silnik. - Nawet lepiej niż przed tym spotkaniem z drzewem.

- Wszystko było tak pocięte, aż dziw, że poszła tylko chłodnica. Teraz jest już w porządku. Możecie wracać do Austin - powiedział dumny ze swej roboty Dan.

Rachunek.

Do tej pory Zoe nawet o nim nie pomyślała. Trzeba było naprawić auto, żeby mogli wrócić do domu; pieniądze nie miały z tym nic wspólnego. Dopiero teraz przypomniała sobie górę rachunków, które znalazła na stoliku w domu Jake'a. Przypomniała sobie krążące po mieście plotki, przewidujące, że niezależnie od wyniku śledztwa, Jake już nigdy się po tym ciosie nie podniesie. Nie wiedziała, ile on ma przy sobie gotówki, ale nie mogło to być wiele, skoro od tyłu tygodni nie pracował. A już na pewno nie tyle, ile trzeba będzie zapłacić Danowi.

Jak przeżyje to upokorzenie? Jego duma nie zniesie takiego ciosu. O Boże, dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Mogła odciągnąć Dana na bok i prosić, by wysłał rachunek na jej adres albo załatwić to jakoś inaczej. Teraz, niestety, było na to za późno.

Wolała nie zastanawiać się, dlaczego tak bardzo martwi się o jego dumę. Sięgnęła do torebki po portfel.

- Nie pomyślałam, żeby zapytać pana, jakie karty pan honoruje - powiedziała, wtykając mu w rękę jedną z nich. - Oczywiście jeśli woli pan gotówkę, mogę wziąć z najbliższego automatu... albo wypisać czek... jak panu wygodniej. Nie wiem, jak byśmy sobie bez pana dali radę.

Dan wziął do ręki podany mu kawałek plastiku, ale tylko dlatego, że nie dała mu wyboru. Zakłopotany spojrzął najpierw na Zoe, potem na Jake'a.

- Myślałem...

Z kamienną twarzą i zaciśniętymi zębami Jake sięgnął po kartę. Był wściekły. Jeśli potrzebował dowodu, że nic się między nimi nie zmieniło, właśnie mu go dała. Zachowała się jak przed dziesięcioma laty i nawet nie wpadło jej do głowy, jak upokarzający może to być gest.

Zdecydowanym ruchem wyjął jej z ręki torebkę, wrzucił do niej kartę, zamknął i oddał jej z powrotem.

- Rachunek już załatwiłem - rzekł chłodno. - Czyżbyś zapomniała, że zawsze sam za siebie płacę?

Zoe poczuła się jak spoliczkowana. Jak może traktować ją w taki sposób? Jakby zrobiła mu największą krzywdę? Przecież chciała tylko pomóc.

Wyprostowała się dumnie i stłumiła napływające jej do oczu łzy.

- Nie, niczego nie zapomniałam - powiedziała cicho. Ale nie była to prawda. Kiedy leżała w jego ramionach i kochała go całym sercem, ani razu nie pomyślała o kretyńskiej dumie,

która stanęła między nimi przed laty. A teraz za to płaci. Odwróciła się do niego plecami i z uśmiechem wyciągnęła rękę do Dana.

- Dzięki za wszystko - powiedziała po prostu i nie oglądając się na Jake'a, wsiadła do auta.

Większość drogi powrotnej do Austin upłynęła im w ciężkim jak kamień milczeniu. Mijały całe kilometry, a oni patrzyli przed siebie i nie odzywali się ani słowem. Kiedy któreś już się odezwało, to krótko, szybko i wyłącznie na temat sprawy sądowej Jake'a. Milczeli, nawet kiedy zatrzymali się po benzynę i na posiłek. Zoe zapłaciła swoją połowę za jedno i drugie, twierdząc w duchu, że nic ją nie obchodzi, jak on poradzi sobie ze swoją.

Mimo to z każdym mijającym kilometrem jej złość narastała. Jak mógł tak namiętnie się z nią kochać, twierdzić, że to coś więcej niż tylko seks, a parę godzin później patrzeć na nią tak lodowato? Zachowywał się tak, jakby bliskość, jakiej niedawno doświadczyli, była niczym. I to bolało ją najbardziej. Jak może jej tak nie ufać? Jeśli w ogóle cokolwiek do niej czuje, powinien wiedzieć, że wyciągnęła tę kartę tylko dlatego, żeby oszczędzić mu zakłopotania.

W oczach cały czas miała łzy i bała się, że zanim dojadą do Austin, zrobi z siebie idiotkę. I kiedy już myślała, że nie wytrzyma, na horyzoncie pojawiło się miasto. Wkrótce potem Jake zatrzymał się przed jej domem.

- Nie musisz parkować - powiedziała szybko. Wzięła lodówkę i torbę i chwyciła za klamkę. - Ani odprowadzać mnie do drzwi.

Była tak opanowana, że odważył się odezwać,

- Do cholery, Zoe, czy możemy porozmawiać?

- Przykro mi, ale mam robotę. Może innym razem. Biegając chodnikiem, usłyszała pisk opon.

Zapłacisz mi za to, pomyślał Jake. Przyjechał do domu, wysłał czek do Dana i od razu do niej zadzwonił. Odpowiedziała mu automatyczna sekretarka. Godzinę później spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem. O północy zadzwonił po raz siódmy i zaklął siarczyście, kiedy znów usłyszał maszynę. Gdzie ona się, do cholery, podziewa?

O drugiej w poniedziałek sam już nie wiedział, ile razy zadał sobie to pytanie. Zajrzał do jej domu, do biura, dzwonił nawet do jej rodziców - nikt jej nie widział. Owszem, może sobie go unikać, ale przecież zaczynał się już niepokoić! W końcu postanowił ją przetrzymać. Po prostu usiadł przed jej domem i czekał.

Kiedy pojawiła się godzinę później, była tak zmęczona, że zauważyła go dopiero, kiedy omal na niego nie wpadła. Było późno.

- A więc w końcu wracasz - warknął. - Gdzieś ty się, do cholery, podziewała?

Zoe nie miała sił na kłótnie. Od powrotu z Del Rio rzuciła się w wir pracy - żeby nie myśleć, nie czuć, nie cierpieć. Oddała film do wywołania i zawiozła go Curtowi, razem z raportem z dotychczasowymi wynikami śledztwa w sprawie Lincolna. Potem musiała zająć się pewnym rozkosznym tatusiem, który od dwóch lat nie płacił alimentów i bardzo się starał, żeby go nie znaleziono. Zlokalizowała go w końcu, ale wiele ją to kosztowało.

Była wykończona i marzyła o śnie. Wystarczyło jej jednak tylko jedno spojrzenie na Jake'a, by wiedzieć, że musi z tym jeszcze poczekać.

- Mówiłam ci, że mam robotę. Jeśli koniecznie chcesz rozmawiać teraz, to będziesz musiał wejść do środka.

- No, dobrze, to o czym chcesz rozmawiać? - Ledwo weszli do mieszkania, Zoe od razu przeszła do rzeczy. Nadal

w kurtce, stanęła naprzeciw niego pośrodku salonu. Była blada i wyraźnie zmęczona.

Jake, choć aż do bólu pragnął wziąć ją w ramiona, ani drgnął.

- Wydawało mi się, że to oczywiste... chyba że zamierzasz mi powiedzieć, że już zapomniałaś, co zdarzyło się w sobotę.

Zoe postanowiła celowo udawać, że go nie rozumie.

- Jak mogłabym zapomnieć? Niecodziennie ktoś mi zarzuca, że płacę jego rachunki.

- Dobrze wiesz, że nie o tym mówię.

- Może i nie, ale dopóki sobie tego nie wyjaśnimy, nie mamy o czym rozmawiać. Wydawało mi się, że mnie znasz, ale widzę, że nie, skoro myślisz, że umyślnie mogłabym cię upokorzyć. - Słyszając pełen bólu ton własnego głosu, z trudem przełknęła ślinę. - Proponując, że zapłacę ten rachunek, chciałam tylko pomóc. Nie wiedziałam, ile pieniędzy masz przy sobie...

- To może najpierw trzeba było sprawdzić, a nie od razu wymachiwać tym plastikiem! Ale ty uznałaś, że na pewno jestem goły, i nie mogłaś się doczekać, żeby przyjść mi na ratunek, co?

- Wcale nie!

- Nie? Według mnie tak to dokładnie wyglądało.

- No to może powinieneś sprawić sobie okulary - odparła urażona. - Jeśli cię obraziłam, to przepraszam, ale wiem, jak ta cała sprawa wpłynęła na twoje interesy. Masz rację, powinnam najpierw sprawdzić, zanim wyciągnęłam portfel, ale nie możesz mnie winić za to, że przypuszczałam, że możesz być nie przygotowany na niespodziewany wypadek. Większość ludzi miałaby problem ze znalezieniem takich pieniędzy bez uprzedzenia.

- Ty nie miałaś.



Było to oskarżenie z przeszłości, stary zarzut najwyraźniej wciąż aktualny. Zoe zrzuciła kurtkę, jakby gotowała się do walki, i podeszła do niego.

- A więc o to chodzi - wycedziła. - Nie dlatego jesteś wściekły, że postawiłam cię w kłopotliwej sytuacji. Po prostu moje pieniądze wciąż są dla ciebie problemem.

Był to rzeczywiście cios między oczy. Zarzut, któremu nie mógł zaprzeczyć. Ma więcej pieniędzy, niż on kiedykolwiek będzie miał, i to go złości. Wiedział, że to głupie, nawet egoistyczne, ale od chwili kiedy ją poznał, przed dziesięcioma laty, czuł, że nigdy nie da jej tyle, ile może dać jej ojciec... Teraz, kiedy stracił prawie wszystko, tym bardziej miał tę pewność.

- Dla mnie możesz być nawet tak bogata jak Rockefeller - rzekł. - Ja nie biorę pieniędzy od kobiet.

- Szowinista.

- Zgadza się.

- To nie miał być komplement. Lepiej by było, żebyś tam pozbył się tego kompleksu, zanim ktoś wybije ci go z głowy.

- Na przykład ty? Nie sądzę.

Było to bezpośrednio wyzwanie i Zoe była zbyt urażona i zbyt wściekła, by je zignorować. Podeszła krok bliżej i ujęła go za końcówkę suwaka kurtki.

- Nie potrzebuję siły fizycznej, żeby o czymś cię przekonać - powiedziała cicho. - Kobiety mają na to inne sposoby.

Poczuła, że sztywnieje.

- Nie przeginaj, Zoe. Nie jestem w nastroju.

Ani myślała się wycofywać. Z zalotnym uśmiechem rozsunęła zamek.

- A przeginam? Myślałam, że widzisz we mnie tylko moje konto.

Jake musiał aż zacisnąć pięści, żeby nie wziąć jej w ramiona.

- I tak jest - skłamał swobodnie. - Konto i karty kredytowe. Przykro mi, jeśli to cię rani, ale takie jest życie.

Może by mu nawet uwierzyła, gdyby nie jego spojrzenie. Gorące, kuszące, namiętne. Przerazona postanowiła się wycofać. Udowodniła już to, co chciała - że kiedy jest tak blisko niego, pieniądze są ostatnią rzeczą, o której jest w stanie myśleć. Powinna zadowolić się tym małym zwycięstwem i odsunąć się czym prędzej.

Serce jej jednak biło już szybciej i mowy o tym nie było. Odważnie przesunęła rękę w dół, po guzikach jego koszuli.

- To nie powinno ci przeszkadzać, prawda?

Ogień. Wiedziała, że igra z ogniem. Widział to w jej oczach i, wściekły na nią i na siebie, chwycił ją za rękę. Ale wtedy ona uniosła głowę, zobaczył jej wilgotne, rozchyłone usta i...

Pocałunek. Tylko jeden. Pocałuje ją tak, że odechce jej się takich igraszek. Kiedy jednak jego usta spotkały się z jej wargami, wszystkie dobre intencje zniknęły.

I jak przedtem, nie skończyło się na pocałunku. Nie zdążyli nawet do sypialni.

Potem jeszcze długo, wtuleni w siebie, leżeli na dywanie. Zoe czuła, że mogłaby tak spędzić resztę życia. Tylko w jego ramionach odnajdywała taki spokój.

Nagle tę cudowną ciszę przerwał ostry dzwonek telefonu. Czar prysł.

Mruczając coś pod nosem, Jake wypuścił ją z objęć, a ona w tej samej chwili za nim zatęskniła. Chwyciła jednak pled z kanapy, owinęła się nim i sięgnęła po słuchawkę.

- Zoe! Bogu dzięki! - ucieszył się Curt. - Szukam ciebie i Jake'a cały dzień. Czy ty nigdy nie odsłuchujesz sekretarki?

- Pracowałam. O co chodzi?

- Właściwie to potrzebny mi jest Jake. Widziałaś go?

- Jest tutaj - powiedziała cicho i spojrzała na Jake'a. Zdążył już wciągnąć dzinsy, ale tylko tyle. I był równie jak ona niezadowolony z tego nagłego powrotu do rzeczywistości.

- To Curt. Do ciebie. - Podała mu słuchawkę.

Każdego innego posłałby do diabła i znów wziął ją w ramiona. Chciał jeszcze. Dużo, dużo więcej niż jedno krótkie popołudnie. Wiedział jednak, że będzie musiał z tym jeszcze poczekać.

- Tak, Curt? - rzucił do słuchawki.

- Jak to dobrze, że cię znalazłem! Udało mi się załatwić na dziś po południu konfrontację z tym robotnikiem z fabryki kleju, który twierdzi, że to ty dostarczyłeś skradzionego konia. Chcę, żebyś przy tym był. Chcę zobaczyć, czy facet powtórzy ci w oczy swoje kłamstwo.

- Dziś po południu?

- Wiem, że powinienem cię uprzedzić, ale mnie też to zaskoczyło. Możesz być u mnie o czwartej?

Była już trzecia trzydzieści. Jake spojrzał na Zoe. Owinięta kocem siedziała na kanapie i wyglądała na zagubioną. Bardzo chciał ją utulić, ale wiedział, że teraz to niemożliwe.

- Tak, będę.

Może to i lepiej, pomyślała Zoe, kiedy została sama. Nigdy nie uda im się szczerze porozmawiać, tylko jeszcze bardziej się zranią. Muszą przestać się widywać, przestać się kochać, przestać się łudzić, że to, co poróżniło ich przed dziesięcioma laty, kiedykolwiek przestanie mieć znaczenie.

Jak tylko znajdzie inne dowody przeciwko Lincolnowi, a jest już na najlepszej drodze, pożegna Jake'a na zawsze.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z dłońmi mocno zaciśniętymi na kierownicy i oczami utkwionymi w jezdni, Jake przedzierał się przez popołudniowy ruch z wprawą kierowcy rajdowego. Zegar na desce rozdzielczej mówił mu, że się spóźni, jeśli nie trafi na zieloną falę przez całą drogę do biura Curta. Pomyślał, że i tak na tym spotkaniu na niewiele się przyda.

Cały czas myślał o Zoe. I o tym, że musiał ją zostawić. Teraz też widział przed sobą jej twarz. Kiedy zadzwonił tamten telefon i zepsuł im nastrój, miał ochotę wyrwać go ze ściany, zanieść Zoe do łóżka i spędzić resztę dnia i noc na kochaniu się z nią.

Kiedy zaczęła tak wiele dla niego znaczyć? Czy kiedykolwiek przestała?

Zaskoczyło go to pytanie. Dziesięć lat. Przez dziesięć lat próbował o niej zapomnieć, przez dziesięć lat wmawiał sobie, że wyrzucił ją ze swych myśli i serca, przez dziesięć długich lat leczył swe złamane serce, twierdząc, że to, co do niej czuł, nie było niczym więcej niż tylko pożądaniem. Przez dziesięć lat się okłamywał.

Tak, zmarnował dziesięć lat przez własną głupotę. Przecież przez cały ten czas była dla niego ważniejsza niż powietrze, którym oddychał, ważniejsza niż ziemia i stajnie, o które walczył. Jak mógł być tak ślepy?

Instykt mówił mu, by zawrócił i natychmiast do niej pojechał. Już zbyt wiele czasu zostało stracone. Musi natychmiast jej powiedzieć, co do niej czuje, i zakończyć te dzielące ich nieporozumienia.

Już chciał wrzucić kierunkowskaz, kiedy dwie przecznice przed sobą zobaczył budynek, w którym mieściło się biuro Curta. W jednej chwili wrócił do rzeczywistości. Po co się oszukiwać? pomyślał z goryczą. Fakt, że Zoe ma więcej pieniędzy od niego, może nie jest już tak ważny jak kiedyś, ale

Zoe niewątpliwie ma prawo spodziewać się od swego mężczyzny jakiejś stabilizacji. A on nawet nie ma przyszłości - za chwilę może nawet nie mieć domu, jeśli nie wróci do pracy i nie zarobi na kolejne raty! Jedyne, co może jej zaoferować, to groźba dwudziestu lat więzienia, która wisi nad jego głową. Jak mógłby prosić jakąkolwiek kobietę, a co dopiero córkę burmistrza, by dzieliła z nim taki los?

Z ponurą miną i zaciśniętymi ustami wszedł do biura Curta dziesięć minut spóźniony. Sekretarka poinformowała go, że Curt, świadek i sądowy protokolant, który miał spisywać składane pod przysięgą zeznania, czekają już na niego w salce konferencyjnej. Stanął przed zamkniętymi drzwiami i przez chwilę zbierał myśli. Musiał odepchnąć od siebie obraz Zoe. Nie było to łatwe, bo na sobie czuł jej zapach.

Gwałtownie potrząsnął głową i przypomniał sobie, że po drugiej stronie tych drzwi znajduje się człowiek, który wskazał go podczas okazania. Nie widział go jeszcze i nie znał nawet jego nazwiska. Facet stwierdził, że to właśnie Jake ukradł konia Lincolna. Jake nie musiał go znać, żeby zniechęcić. Ktoś zupełnie obcy zniszczył jego reputację i nieomal całe życie. Pora, by spojrzeć mu w oczy i kazał powtórzyć to kłamstwo prosto w twarz. Zastukał mocno do drzwi i wszedł do środka.

Przy eleganckim stole konferencyjnym siedziało kilka osób. Najwyraźniej jeszcze nie zaczęli, bo protokolantka szykowała dopiero swoją maszynę stenograficzną i nie zareagowała na jego wejście. Curt zaś od razu zerwał się z krzesła i powitał go z uśmiechem ulgi.

- A więc zdążyłeś. To dobrze. Właśnie mieliśmy zaczynać.

- Nie mógłbym sobie tego odmówić - zapewnił go poważnie Jake. Nie byli sami, więc podobnie jak adwokat

mówił prawie szeptem. - Przecież wiesz, że marzyłem, by stanąć przed tym łajdakiem.

- Wystarczy, jak usiądziesz i będziesz obserwował. Jeśli tu nie uda mi się obalić jego zeznań, na sali sądowej może nam naprawdę narobić kłopotu.

Jake skinął głową i już chciał usiąść, kiedy na widok siedzącego u szczytu stołu świadka stanął jak wryty.

- To jest Roy Thomas? - syknął przez zęby. - Ten Roy Thomas, który pracuje w fabryce kleju i wskazał mnie na okazaniu?

Zaskoczony Curt spojrzął na świadka, jakby chciał sprawdzić, czy przypadkiem w ciągu ostatnich kilku sekund nie zmienił tożsamości.

- Tak, a bo co? Znasz go?

Jake nie miał wątpliwości, że jest to ten sam człowiek, którego spotkali na tamtej opuszczonej posiadłości, kiedy Zoe udawała, że szukają domu znajomych, którzy zaprosili ich na grilla. Ta sama rumiana twarz, te same wrogie, czujne oczy, ten sam gruby brzuch.

- Nie znam - odparł ponuro. - Ale wiem, kim jest właściciel domu, w którym on mieszka. To Derek Lincoln.

- Co takiego? - Curt omal się nie udławił. - Poważnie?

Nagle uświadomił sobie, że podniósł głos i zwrócił uwagę pozostałych, więc zaklął pod nosem i zmusił się do uśmiechu.

- Przepraszam państwa na chwilę. Muszę zamienić parę słów z moim klientem. Zaraz wracamy.

Jake ruszył za nim, ale zdążył jeszcze zauważyć, że Roy Thomas jest tak samo zaskoczony, jak on. Nic dziwnego. W dniu okazania Jake miał za sobą kilka ciężkich tygodni. Od dnia, kiedy Lincoln zniszczył jego reputację, na niczym mu nie zależało. Miało to swe odzwierciedlenie w jego wyglądzie. Włosy miał długie i brudne, twarz zmęczoną i nie ogoloną. Wyglądał zupełnie inaczej niż teraz. To dlatego Thomas go

nie poznał, kiedy razem z Zoe w zeszłym tygodniu zajechali przed jego dom.

Teraz jednak wszystko stało się jasne. Wiedział, że nie znaleźli się tam przypadkiem. Wkrótce dowie się o tym także Derek Lincoln.

- Mów wszystko - zaczął Curt, ledwo zamknął za nimi drzwi. - Skąd wiesz, że jego dom jest własnością Lincolna?

Jake opowiedział mu w skrócie o ich niespodziewanym spotkaniu.

- A więc Thomas mieszka na terenie, który jest własnością jednej z firm Lincolna i zupełnie przypadkowo pracuje w fabryce kleju, gdzie rzekomo sprzedałem konia Lincolna - podsumował. - Do zeszłego tygodnia nie widziałem go na oczy, za to on wiele tygodni wcześniej wskazał mnie w czasie okazania. Nie wiem, jak ty, ale ja nie wierzę w zbiegi okoliczności. I z odległości kilometra wyczuję aferę. To wszystko śmierdzi jak zgnile jajko.

Curt przyznał mu rację. Podniecony, poklepał go po ramieniu.

- Wiesz, co to oznacza, prawda? Znaleźliśmy powiązanie pomiędzy Lincolnem i jedynym świadkiem, jakiego ma oskarżenie. I mamy zdjęcia ciężarówki, która należy do Lincolna, pomalowanej na twoje kolory, potem przemalowanej z powrotem. Chodź, przygwoździmy tego drania.

Jak się wkrótce okazało, Roy Thomas był twardy. Kiedy wrócili do sali, stał się czujny i zdecydowany, i trzymał się swojej historii. Przez długie dwie godziny nie zmienił w niej nawet przecinka. Dopóki Curt nie poruszył tematu miejsca jego zamieszkania. Dopiero wtedy zaczął się pocić.

- Czy dom, w którym pan mieszka, jest pańską własnością?

- Nie.

- Kto jest jego właścicielem? Na czoło mężczyzny wystąpiły kropelki potu.

- Y... y... no... Heartfield Enterprises. I o to chodziło. Curt miał go jak na talerzu i wszyscy to już wiedzieli. Nawet protokolantka wstrzymała oddech i czekała na ostatnie, pogiębiające pytanie.

- Czy wie pan, kto jest prezesem zarządu Heartfield Enterprises?

Przez długą chwilę Roy Thomas wyraźnie zastanawiał się, czy odpowiadać na to pytanie. Potem z głośnym przekleństwem zerwał się z krzesła.

- Odmawiam odpowiedzi, bo może zostać użyta przeciwko mnie! I od tej pory tylko to ode mnie usłyszycie!

Jake spojrzał na Curta i omal nie krzyknął z radości. Nic więcej już im nie było potrzebne. To, co powiedział, było równoznaczne z przyznaniem się.

Spotkanie, jeśli można to tak nazwać, zakończyło się prawie o siódmej i na dworze było już ciemno. Jake koniecznie chciał się jak najszybciej podzielić dobrą wiadomością z Zoe, więc zadzwonił do niej z gabinetu Curta. Niecierpliwie bębnił palcami w biurko, wsłuchując się w kolejne sygnały. Kiedy odezwała się automatyczna sekretarka, zaklął i odłożył słuchawkę. Kiedy w jej biurze też nikt nie odpowiadał, zaniepokoił się. Przecież wiedziała, że zaraz po spotkaniu ma do niej wrócić. Gdzie więc zniknęła? O ile wiedział, nie miała żadnych planów.

Jeszcze za wcześnie, by świętować sukces. Ciężarówka wykorzystana do kradzieży może i jest zarejestrowana na Lincoln, ale zawsze może się on wykręcić, twierdząc, że to któryś z jego ludzi wszystko zorganizował, bez jego wiedzy. Nie, musieli znaleźć coś, co go na dobre pogiębi. Na przykład dokumenty łączące go z bankiem Jake'a.



Przypomniął sobie, co mówiła w drodze powrotnej z Del Rio. Oboje przyznali, że tylko ktoś tak wpływowy jak Lincoln może mieć odpowiednie znajomości, by dowiedzieć się, w którym banku Jake ma konto, poznać jego numer i przelać nań pieniądze. Badając listę urzędników bankowych i większych akcjonariuszy, nie natknęli się nigdzie na nazwisko Lincoln, ale to znaczyło tylko, jak bardzo jest sprytny. Jeśli jest jakiś dowód łączący go z tym bankiem, to na pewno ukryty. Być może w jego biurze.

A najlepiej je przeszukać wtedy, kiedy się wie, że Lincoln bawi się w myśliwego w Del Rio.

Jake zamarł i miał wrażenie, że serce przestało mu bić. Przecież to niemożliwe. To niemożliwe, żeby Zoe podjęła to ryzyko sama, nie pytając go o zdanie.

Wściekły, ale i przerażony, wybiegł jak burza z biura Curta. Oby tylko nie było za późno! Idiotka! Jak tylko ją dorwie i upewni się, że nic jej się nie stało, zabije ją!

Zoe wjechała na parking dwudziestopiętrowego budynku, w którym mieściło się biuro Lincoln, i zgasła silnik. Stojąc w cieniu na pierwszym poziomie, zobaczyła wejście dla dostawców i stojącą przed nim ciężarówkę firmy sprzątającej. Trzej mężczyźni w kombinezonach wyładowywali akurat jakieś butle i puszki i wstawiali je do przedsiionka. Jeśli przed odjazdem nie zamkną drzwi, będzie mogła wejść do środka nie zauważona.

Cierpliwość nie była jej najmocniejszą stroną i zazwyczaj wystarczało jej zaledwie na dziesięć minut. Teraz też aż rwała się do działania. Mężczyźni ruszali się w iście ślimaczym tempie i kiedy wyładowali już ostatnią butlę, Zoe była u kresu wytrzymałości. Słyszając szum opuszczanych drzwi, zamarła. Kiedy zatrzymały się trzydzieści parę centymetrów nad ziemią, odetchnęła z ulgą i odmówiła krótką modlitwę dziękczynną.

Błyskawicznie wyskoczyła z auta i wśliznęła się pod drzwiami do środka. Znalazła się w przedsionku, gdzie mężczyźni zostawili swoją dostawę. Przy drzwiach zauważyła wieszak z fartuchami dla sprzątaczek. Uradowana, szybko narzuciła jeden z nich na siebie.

Następne piętnaście minut było najbardziej stresującymi minutami w jej życiu. Przecież mogła się na kogoś natknąć. W normalnej sytuacji sprawdziłaby, gdzie dokładnie są biura Lincolna, ilu ludzi zostaje w budynku na noc i tak dalej. Dziś nie miała na to czasu. Musiała jak najszybciej znaleźć dowody winy Lincolna. Im szybciej, tym lepiej. Bo wtedy Jake zniknie z jej życia. Na dobre.

Poruszając się bezszelestnie jak jakiś złodziej, pustym korytarzem parteru doszła do wind i tablicy informacyjnej. Kiedy znalazła nazwisko Lincolna, aż jęknęła. Dziesiąte piętro! A z windy przecież skorzystać nie mogła. Po drodze mógł przecież wsiąść jakiś strażnik czy ktoś ze sprzątających. Zakłęła pod nosem i ruszyła po schodach.

Dziesięć pięter później płuca jej płonęły, a kolana drżały. Ostrożnie otworzyła drzwi i wyjrzała na długi, jasno oświetlony korytarz. Przed otwartymi drzwiami jakiegoś pokoju stał wózek wyładowany sprzętem do sprzątania. Po chwili z pokoju wyszedł mężczyzna, zamknął za sobą drzwi, przetoczył wózek dalej i zniknął w następnym pomieszczeniu.

Miała nadzieję, że będzie tam zajęty co najmniej piętnaście - dwadzieścia minut. Wstrzymując oddech, na palcach ruszyła korytarzem w poszukiwaniu gabinetu Lincolna.

Kiedy zobaczyła, że to właśnie w nim zniknął sprzątac, omal nie jęknęła z zawodu. Co teraz?

W tej samej chwili usłyszała, że mamrocząc coś pod nosem, mężczyzna idzie ku drzwiom. Szybko rozejrzała się dokoła za jakąś kryjówką. Jedyнным nadającym się na to

miejszem była wnęka przy wiszącym na ścianie telefonie. Ciemna i pusta. Dopadła jej w tej samej chwili, kiedy sprzątaczone wyszedł na korytarz.

- Jak mogłem zapomnieć płynu do mycia szyb? - mruzczył do siebie mężczyzna, idąc ku windom. Na szczęście oznaczało to kierunek przeciwny do kryjówki Zoe. - Lincoln ma fioła na punkcie tych okien. Nie lubi, jeśli cokolwiek przesłania mu widok. Nic go nie obchodzi, że przez niego muszę jechać na dół. A co mu tam! Ma szmal i żąda, by odpowiednio go traktować. - Wciąż mamrocząc, zniknął w windzie.

A drzwi do gabinetu Lincolna stały szeroko otwarte.

Zoe nie mogła z tego nie skorzystać. Uznała, że ma co najmniej osiem minut, może więcej, jeśli sprzątaczone zechce przy okazji zapalić papierosa czy wypić kawę ze swymi kolegami. Nie było to długo, ale i tak więcej, niż się spodziewała. Przez chwilę jeszcze nasłuchiwała, a potem przemknęła przez hol i wpadła do biura Lincolna.

Logicznie postępujący człowiek, gdyby miał coś do ukrycia przed niepowołanymi oczami, schowałby to w sejfie. Nawet gdyby udało jej się go znaleźć, to nie rozpracuje szyfru. Pamiętała z opowieści ojca, że Lincoln - przewrotnie - lubi ukrywać rzeczy na widoku.

Sprzątaczone pozapalał już wszędzie światła i pootwierał wszystkie drzwi, także do prywatnego gabinetu Lincolna, dużego i elegancko umeblowanego. Zoe stanęła w progu i głęboko wciągnęła powietrze. Jedną ze ścian aż do sufitu pokrywały półki z oprawnymi w skórę książkami, od podręczników ekonomii po Szekspira. Na ścianie za biurkiem wisiał oryginalny obraz Picassa, na stolikach stały niewielkie, ale wyraźnie cenne rzeźby. Dowodu, którego szukała, nie było.

Świadoma upływającego nieubłagania czasu, podbiegła do biurka. Było to dobre miejsce, na którym wśród dokumentów można by coś ukryć.

Szybkie przetrzczenie leżących na wierzchu papierów nie przyniosło rezultatu. Zoe gorączkowo zaczęła zaglądać za obrazy, pod rzeźby, nawet pod meble. Nic. Zostały już tylko książki, a sprzątaczone mógł wrócić w każdej chwili.

Czoło pokryło jej się potem, w uszach dudniło. Najpierw sięgnęła po Szekspira, wysuwając poszczególne tomy tylko na tyle, by dostrzec ewentualny schowek. Na próżno.

Zakłęła pod nosem i sięgała akurat po stojący tuż obok opasły tom kodeksu karnego, kiedy wydało jej się, że z holu słyszy jakiś odgłos. Znieruchomiała i książka w głuchym łoskotem upadła na dywan.

Przez chwilę, która wydawała jej się wiecznością, stała nieruchomo i nasłuchiwała.

W końcu, uspokojona ciszą, pochyliła się, by podnieść tom. Ręce jej drżały i książka omal znów nie wysliznęła się na podłogę. Złapała ją w ostatniej chwili, gniotąc kartki. Spomiędzy nich bezszelestnie wypadła biała, zwyczajna koperta. Zoe od razu zauważyła adres nadawcy, dobrze znanej firmy maklerskiej.

Otworzyła ją natychmiast i w środku znalazła... dowód nabycia kontrolnego pakietu akcji Roosevelt Heights National Bank, tego samego, w którym miał konto Jake, oraz plik dowodów wpłaty na nazwisko Jake'a!

- Co ty wyprawiasz?

Przerażona Zoe pisnęła i zerwała się na równe nogi. Koperta została na podłodze. Na widok stojącego w drzwiach mężczyzny zrobiło jej się słabo.

- Jake! Ale mnie przestraszyłeś! Jak się tu dostałeś?

- Tak samo jak ty - odparł - przez niedomknięte drzwi dla dostawców. - Wściekły, podszedł do niej kilkoma szybkimi

krokami. - Do diabła, kobieto, chcesz wylądować w więzieniu? Przecież to, co robisz, to najzwyklejsze włamanie!

- Wcale nie. Drzwi były otwarte. A zresztą kto się dowie? Sprzątacze pojechali na dół po jakiś płyn i kiedy wróci, mnie już tu nie będzie.

- No to lepiej się pospiesz - mruknął. - Widziałem, jak z dwoma kolegami kończy palić i zaraz będzie wracał. - Mocno zacisnął palce na jej ramieniu. - No, zmywamy się stąd.

- Zaraz, poczekaj. Popatrz! - Zoe wyrwała się z jego uścisku, zebrała z podłogi rozrzucone papiery i wetknęła mu do ręki. - Znalazłam to, czego szukałam - ogniwo łączące Lincolna i twój bank. On ma w nim pakiet kontrolny... tysiące akcji. Ma nawet dowody wpłaty na twoje nazwisko.

Innym razem, w innym miejscu, Jake byłby uradowany. Był to ostatni dowód, dzięki któremu oczyści swoje imię. Jednak na samą myśl, jak bardzo ryzykowała, by go zdobyć, zrobiło mu się zimno. Pędził przez całe miasto jak wariat i wciąż prześladował go obraz Zoe, stojącej twarzą w twarz z Lincolnem. Wiedział już, że drań przed niczym się nie cofnie. Gdyby coś jej się stało...

Potrząsnął głową i pomógł jej wstać. Chciał wziąć ją w ramiona i upewnić się, że jest cała i zdrowa. Wiedział jednak, że będzie z tym musiał poczekać. Mocno chwycił ją za rękę.

- Kotku, musimy stąd uciekać. Sprzą...

- Przyjedzie windą i usłyszymy, kiedy zatrzyma się na naszym piętrze - dokończyła za niego. - W razie czego schowamy się w szafie, ale muszę sfotografować te papiery. Pomóż mi, będzie szybciej.

Dla niej wszystko wydawało się proste i logiczne. A on nie potrafił jej odmawiać. Oby się nigdy o tym nie dowiedziała!

- Dobra - mruknął. - Ale na miłość boską, pospiesz się! - Szybko i bardzo skrótowo opowiedział jej, co zdarzyło się na

spotkaniu u Curta. - Lincoln bardzo się napracował, organizując to wszystko, i nie pozwoli, by się wydało. W każdym razie nie bez walki, maleńka. To mnie próbuje zniszczyć i wolę, żebyś się do niego nie zbliżała, kiedy wszystko wyjdzie na jaw.

Wzruszona jego troską, Zoe tak bardzo chciała mu powiedzieć, że kocha go i nie może uciec, zostawiając go, kiedy potrzebuje pomocy.

- Kiedy Curt przedstawi te zdjęcia prokuratorowi, Lincoln nie będzie mógł już nikogo zniszczyć - powiedziała i rozłożyła na biurku zawartość koperty. Wyjęła z kieszeni miniaturowy aparat fotograficzny, z którym nigdy się nie rozstawała, i szybko zrobiła kilka zdjęć. Szczególnie pilnowała, by na każdym znalazła się nazwa firmy maklerskiej Lincolna i numer rachunku.

Kiedy skończyła, powinna w zasadzie poczuć ulgę. Podjęła ogromne ryzyko, przychodząc tu dziś wieczór, i zdobyła to, czego szukała - dowód, który pozwoli jej oczyścić dobre imię Jake'a i zakończyć z nim znajomość. Każde z nich będzie mogło wrócić do swego życia. Powinna się cieszyć. Zamiast tego czuła, że do oczu napływają jej łzy. O Boże, czy będzie w stanie pozwolić mu odejść, skoro jedyną rzeczą, jakiej pragnie, jest zostać na zawsze w jego ramionach?

Potrząsnęła głową i wróciła do rzeczywistości.

- No dobrze, teraz jeszcze odłożę wszystko na miejsce i możemy iść. Lincoln nigdy się nie dowie, że tu byliśmy.

- Co za naiwność, moja droga - odezwał się od progu ten, który o niczym miał się nie dowiedzieć, - Chyba nie myślisz, że jestem taki głupi?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Serce podeszło Zoe do gardła.

Ton głosu Lincolna był szyderczy, jego krzywy uśmiech pełen wyższości, ale najbardziej przerażał ją mały pistolet w jego ręku. Trzymał go z pewnością człowieka, który umie obchodzić się z bronią. I celował prosto w serce Jake'a.

Nie!

Krzyk zabrzmiał tylko w jej głowie, nie przeszedł przez zaciśnięte gardło. Patrzyła w zdeterminowane oczy Lincolna i wiedziała, że on nie żartuje. Chce ich zastrzelić i zrobi to z wielką przyjemnością. Będą mu musieli zapłacić za wszystkie kłopoty, w jakich się przez nich znalazł.

Instykt kazał jej uciekać, ale lekki uśmieszek w kąciku ust Lincolna powiedział jej, że tego właśnie chce, na to liczy. Ich strach wyraźnie sprawiał mu przyjemność. Przy najmniejszej próbie ucieczki zastrzeli ich bez mrugnięcia okiem.

I tak zresztą to zrobi, ale Zoe nie zamierzała mu tego ułatwiać. Stała przed nim dumnie wyprostowana, jakby się w ogóle nie przejmowała, że przyłapał ją podczas przeszukiwania swego gabinetu.

- Nie, nigdy nie uważałam cię za idiotę - przyznała.

- Ale teraz zaczynam mieć wątpliwości. Skąd się tu wzięłeś? Myślałam, że polujesz w Del Rio.

- Nie doceniasz mnie, moja droga. Chyba nie myślałaś, że tam zostanę, skoro odkryłem, że znaleźliście ciężarówkę? O, tak, wiedziałem, że to wy - mówił dalej, widząc zdziwienie w jej oczach. - Niestety, mój człowiek nie mógł was załatwić, bo pojawił się przypadkowy świadek, ale miał numer rejestracyjny Knighta. Kiedy tylko dowiedziałem się, kto naruszył prywatność mego rancza, od razu ruszyłem do Austin. Wiedziałem, że wcześniej czy później się tu zjawicie. Nie powinnaś być aż tak przewidywalna, moja droga.

Jake stał u boku Zoe czujny i spięty, każdy mięsień jego ciała gotów był do działania. Ironiczny ton Lincolna działał mu na nerwy. Zabrakło dwóch minut, by Zoe była bezpieczna. Dwóch cholernych minut!

Nie patrząc wcale na wycelowaną w siebie broń, nie odrywał oczu od Lincolna.

- Mało ci jeszcze problemów? Musisz dodawać do nich morderstwo? - warknął. - Odłóż tę pukawkę, zanim zrobisz komuś krzywdę, Chyba nie chcesz zginąć w naszym pięknym stanowym więzieniu?

Lincoln tylko się roześmiał.

- Chyba żartujesz, Jake. Masz mnie za idiotę? Nikt mnie o nic nie oskarży, bo mój lokaj w Del Rio przysięgnie na sto Biblii, że przez cały dzień nigdzie się stamtąd nie ruszałem.

- To jak wytłumaczysz, że zginęliśmy w twoim gabinecie? Biorąc pod uwagę moje zarzuty wobec ciebie, będziesz pierwszym podejrzanym.

- Mam alibi, zapomniałeś? - Lincoln obojętnie wzruszył ramionami. - Policja raczej uzna, że natknęliście się tu na jakiegoś złodzieja i to on was zastrzelił.

- Nie łudź się. Nigdy ci się to nie uda. Jak tylko strzelisz, przybiegnie strażnik.

- Wątpię - odparł spokojnie Lincoln i pokazał mu tłumik, który zamierzał założyć na lufę. - Widzisz, nawet nie usłyszysz.

Kiedy Zoe jęknęła przerażona, przypomniał sobie o niej, ale ani na chwilę nie spuścił wzroku z Jake'a.

- Przykro mi, że muszę ci to zrobić, moja droga - twoi biedni rodzice będą niepokieszeni. Ale jeśli musisz kogoś winić, wiń swego klienta. Nie powinien się na mnie porywać. Sama widzisz, że nie mam innego wyboru. Nie mogę stać i patrzeć, jak mnie niszczyacie.



Ten człowiek zwariował, pomyślała, patrząc na palce zaciśnięte na tłumiku. Zabije Jake'a, a potem skieruje broń na nią. I spodziewa się, że go zrozumie!

Otworzyła usta do krzyku, ale z zaciśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Zrób coś! wołało jej serce. W panice rozejrzała się dokoła za jakąś bronią. Kiedy jej wzrok padł na opasły tom kodeksu karnego, nie wahala się ani chwili. Po prostu rzuciła nim w Lincolna.

Książka uderzyła go w rękę, wytrąciła tłumik i podbiła pistolet, który wypalił nieszkodliwie w ścianę na lewo od Jake'a. Siny z wściekłości Lincoln zaklął i wymierzył w stronę Zoe.

- Ty dziwko! Nauczę cię nie wtykać nosa w nie swoje spra...

- Nie!

Wszystko stało się tak szybko, że Zoe nawet nie zdążyła mrugnąć okiem. Jake jak wściekły byk rzucił się na Lincolna i ramieniem walnął go w brzuch. Dokładnie w chwili, kiedy jego palce naciskały spust. Strzał przeciął ogłuszającą ciszę.

Zoe poczuła w lewym ramieniu przeszywający ból i zatoczyła się na regał. Krzyknęła głośno, jej ręka automatycznie powędrowała do pulsującego i gorącego miejsca. Coś ciepłego i lepkiego pociekło jej po palcach. Jak w zwolnionym filmie uniosła rękę do góry i wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. Krew. Jej krew. Trafił mnie, pomyślała i kolana się pod nią ugięły.

Jej bolesny jęk przeszył Jake'a jak strzała.

- O Boże, nie!

Wciąż walczył z Lincolnem o pistolet. Spleceni upadli na podłogę. Zoe jest ranna. Ten drań do niej strzelił! Jake wpadł w szal. Z okrzykiem ranionego zwierza walnął ręką Lincolna o kant biurka i wytrącił mu broń. Bez pistoletu Lincoln nie był

już dla niego przeciwnikiem. Jednym potężnym ciosem w szczękę pozbawił go przytomności.

Nawet nie czekał, aż przeciwnik opadnie bezwładnie na ziemię. Poczłogał się do Zoe i na jej widok zrobiło mu się słabo. Była blada jak ściana i zalana krwią.

- O Boże!

Błyskawicznie oderwał kawałek swej koszuli i drżącymi ze strachu palcami przycisnął do jej rany.

- Jestem przy tobie, maleńka. Zawiozę cię do szpitala i wszystko będzie dobrze. Słyszysz mnie? Cholera, gdzie jest ten strażnik?

Zoe słyszała go jak przez mgłę. Słyszała, że woła jej imię i błaga, by jeszcze trochę wytrzymała. Czy to naprawdę on? Jake nigdy w życiu o nic nie błagał. Próbowwała otworzyć oczy, ale powieki były ciężkie jak z ołowiu i sił jej zabrakło. Szepcząc jego imię, po omacku wyciągnęła rękę, szukając jego dłoni. Przeszył ją tak ostry ból, że znów jęknęła.

Jake mocno zacisnął palce na jej dłoni.

- Spokojnie, słonko, nie ruszaj się. Leż spokojnie, a ja wezwę karetkę.

Chciał sięgnąć po stojący na biurku telefon, ale zatrzymał go jej pełen trwogi krzyk.

- Nie zostawiaj mnie!

- Krwawisz, maleńka. Muszę.

- Co tu się dzieje?

Nie wypuszczając ręki Zoe, Jake spojrział przez ramię i zobaczył stojącego w progu dozorcę i umundurowanego strażnika. Z niedowierzaniem patrzyli to na zalaną krwią Zoe, to na nieprzytomnego Lincolna, rozciągniętego na plecach na podłodze.

- Wezwijcie karetkę - rzucił. - I policję. Mieliśmy tu strzelaninę.

Na jego zdecydowany rozkaz mężczyźni oprzytomnieli. Wybiegli na korytarz. Jake nawet tego nie zauważył. Znow wpatrywał się Zoe i szeptał coś uspokajająco. Nie słyszała go, bo straciła przytomność.

- Na pewno nic ci nie jest, dziecinko? Tak się o ciebie martwiliśmy!

- Myślałam, że nie wytrzymam, córeczko. Tak się bałam, że cię stracimy. Lekarz mówi, że miałaś dużo szczęścia.

- Ludzie, dajcie jej spokój. - Ellie Murdock z niecierpliwością skarciła syna i synową. - Dopiero wróciła z sali operacyjnej. To nie pora, by opowiadać jej, w jak ciężkim była stanie. Moja wnuczka nie da się takiemu łotrowi, jak Lincoln. Prawda, maleńka? - Babcia pochyliła się nad blada jak ściana Zoe i poklepała ją po ręce. - Musisz trochę odpocząć i wszystko będzie w porządku.

Ze swego miejsca przy oknie separatki Jake patrzył, jak rodzina krząta się wokół niej. Wszyscy mieli za sobą ciężką noc, widać to było po ich twarzach. Operacja Zoe trwała cztery godziny, a im wydawało się, że co najmniej sto. Niebezpieczeństwo co prawda minęło, ale strach, jakiego im napędziła, tak szybko nie minie. Przecież omal jej nie stracili.

On też.

Odwrócił się od tej pełnej miłości i troski rodzinnej sceny i wyrzwał przez okno. Do świtu wciąż było daleko i czarne niebo rozświetlały tylko miliony gwiazd. Jake nawet tego nie zauważył. Niezależnie na co patrzył, widział tylko delikatną skórę Zoe, rozerwaną przez kulę, słyszał tylko jej bolesny krzyk. Boże, nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny! Czuł, że życie z niej ucieka, i nie wiedział, jak jej pomóc.

Nawet teraz, tyle godzin później, wciąż czuł tamtą furję. Mógł ją stracić i nie zdążyć powiedzieć, co do niej czuje. Naprawdę nie było na to czasu. Karetka przyjechała w ciągu kilku minut i tak szybko ją zabrano, że nie zdążył nawet

pocałować jej na do widzenia. Była nieprzytomna, w szoku i myślał tylko o tym, że obudzi się gdzieś, sama... bez niego.

Poruszyłyby niebo i ziemię, żeby pojechać razem z nią karetką, ale strażnik mu nie pozwolił. Lincoln odzyskał już przytomność i krzyczał, by aresztowano Jake'a, więc mężczyzna nie miał wyboru i musiał go zatrzymać do przyjazdu policji. Pozwolił jednak na dwa telefony - do Curta i do ojca Zoe.

Sam o tym nie wiedząc, ocalił swą skórę. Kilka minut po przyjeździe policji pojawił się Curt, tuż za nim przybył prokurator, ściągnięty przez burmistrza. Mimo głośnych protestów Lincolna, Curt przedstawił niepodważalne dowody przeciw filantropowi i zwrócił uwagę, że tylko Lincoln był uzbrojony, kiedy stanął twarzą w twarz z Jakiem i Zoe.

Prokurator, choć niechętnie występował przeciw jednemu z najbardziej wpływowych ludzi w mieście, zdawał sobie jednak sprawę, że to przez niego córka burmistrza walczy o życie. Okazało się, że ten człowiek wcale nie jest taki święty, jakiego udaje. Postanowił zwolnić Jake'a, a Lincolnowi zakazał opuszczać miasto. Już nazajutrz planował zacząć dokładne śledztwo.

To znaczy dzisiaj, poprawił w duchu Jake. Władze ostatecznie wysłuchały jego historii i Curt spodziewał się, że w ciągu kilku najbliższych godzin zarzuty wobec niego będą wycofane. Za to Lincoln jest teraz w poważnych tarapatach. Nawet pieniądze mu nie pomogą. Prasa już się o wszystkim dowiedziała i od godziny tłum dziennikarzy kłębił się przed szpitalem, czekając na oświadczenia Jake'a i rodziny Zoe.

Wpatrując się w noc, Jake wiedział, że powinien czuć ulgę. Nad tym przecież od sześciu tygodni pracował, o to się modlił. Klęska Lincolna wkrótce będzie pełna i ostateczna i już nigdy nie odzyska szacunku i uznania, jakimi do tej pory się cieszył Tym razem to Jake śmieje się ostatni. Jego imię

zostało oczyszczone i dziennikarze spekulowali nawet, że kiedy tylko wszystko ukaże się w prasie, nie będzie się mógł opędnąć od nowych zleceń. Taki jest ten świat. Dawid odważył się ujawnić, że Goliat jest po prostu draniem i ci, którzy jeszcze parę tygodni rzucali w niego kamieniami, teraz pędzą z zapewnieniami, że nigdy nie wątpili w jego niewinność.

Jake jednak nie odczuwał spodziewanej satysfakcji. Pragnął tylko Zoe. Teraz i na zawsze. Powie jej to, jak tylko zostaną sami. Wiedział, że będzie się z nim spierała, ale już nigdy jej nie utraci. Znajdzie jakiś sposób, by wszystko między nimi się ułożyło. Teraz, kiedy jest już oczyszczony z zarzutów, szybko odbuduje swoją zawodową pozycję i pokaże jej, że mają przed sobą wspólną przyszłość. Zawsze będzie miała więcej pieniędzy niż on, ale kula, która przeszła przez jej ramię i omal mu jej nie zabrała, uświadomiła najlepiej, co jest dla niego najważniejsze. Kocha Zoe. Nic więcej - jego uparta duma, obiekcje jej rodziny - nie liczą się. Zoe należy do niego i pora, by się o tym dowiedziała.

- Chciałbym ci podziękować, że się nią tak zaopiekowałeś.

Jake podniósł wzrok i zobaczył stojącego przed nim ojca Zoe, smutnego i zrezygnowanego. Takim go jeszcze nie widział. Ten wysoki majestatyczny człowiek był do tej pory wobec niego zdecydowanie niechętny. Raczej spodziewał się pretensji niż podziękowań.

- Przecież omal nie umarła - zauważył chłodno. - Trudno to nazwać opieką.

- Lekarz twierdzi, że pierwsza pomoc, jakiej jej udzieliłeś, uratowała jej życie - upierał się Terrence Murdock. - Zawsze będę ci za to wdzięczny.

Jake, trochę zmieszany, wsunął ręce w tylne kieszenie dżinsów. Obraz kuli, przeszywającej jej ciało, wciąż go prześladował. Wielki Boże, czy kiedykolwiek zapomni

chwile, kiedy odwrócił się i ujrzał ją leżącą na ziemi w kałuży krwi?

- Nie chcę pańskiej wdzięczności. Z Zoe wszystko jest w porządku i to najważniejsze.

Ale Terrence Murdock zawsze uważał się za sprawiedliwego i nie mógł tego tak zostawić. Mylił się w ocenie człowieka, który ocalił życie jego córki, i winien był mu wdzięczność. On też zacisnął zęby i spojrzał w noc.

- Wiem, że masz za sobą ciężki czas. Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebował, wystarczy...

- Nie - powiedział przez zęby Jake. - Jeśli chce mi pan zaproponować pracę lub pieniądze, niech sobie pan daruje. Niczego od pana nie chcę. Nigdy nie chciałem. To, co zrobiłem, zrobiłem dla Zoe, nie dla pana.

- Wiem.

- To niech dowie się pan czegoś jeszcze. Gdybym mógł, chwyciłbym tę kulę w locie... bo kocham Zoe. Zrobiłbym dla niej wszystko, tylko już nigdy nie usunę się z jej życia, więc lepiej, żeby pan i pańska rodzina przyzwyczaili się do mego widoku.

Terrence Murdock uśmiechnął się mimo woli, w jego niebieskich oczach pojawiły się wesołe ogniki. Rozbawiła go postawa Jake'a, który wyraźnie szykował się do walki. Zupełnie niepotrzebnie.

- Rozumiem. Powiedziałaś już Zoe o swoich zamiarach?

- Jeszcze nie, ale zrobię to przy najbliższej okazji.

- Jake odważnie patrzył starszemu panu prosto w oczy.

- Dziesięć lat temu byłem upartym kretynek. Miałem więcej dumy niż zdrowego rozsądku i umiał pan sobie ze mną poradzić. Teraz niech pan nawet nie próbuje, bo nic z tego nie będzie. Nie ruszę się nigdzie bez Zoe. Raz ją już straciłem. I nigdy więcej się to nie powtórzy.

Co do jego szczerości i zdecydowania nie było najmniejszych wątpliwości. Przyglądając mu się uważnie, Terrence Murdock wiedział, że ma przed sobą mężczyznę, a nie Dorywczego chłopca. Mężczyznę, który najwyraźniej kocha jego córkę do szaleństwa. Wchodząc między nich, byłby idiotą.

- Potrafisz ją utrzymać?

Jake nie wierzył własnym uszom. Była to ostatnia rzecz, jakiej mógł się spodziewać.

- Nie obsypię jej brylantami, ale zapewnię godziwe życie - odparł z przekonaniem. - Dopóki Lincoln nie spróbował mnie zniszczyć, zupełnie nieźle mi szło. Teraz, kiedy oczyszczony jestem z tych idiotycznych zarzutów, wszystko wróci do normy. Może nie dam jej tyle co pan, ale nigdy nie będzie miała wątpliwości, że jest kochana.

Starszy pan, wyraźnie wzruszony, wyciągnął do niego rękę.

- Niczego więcej dla niej nie pragnę - rzekł cicho.

- Zawsze przede wszystkim zależało mi na jej szczęściu.

Wciąż przygotowany na walkę, Jake z niedowierzaniem patrzył na wyciągniętą ku sobie dłoń. Nawet nie pamiętał, kiedy odwzajemnił ten gest, a już po chwili burmistrz ścisnął go mocno i witał w rodzinie. Jake miał wrażenie, że to wszystko mu się śni.

Rodzina Murdocków po serii uścisków i pocałunków wkrótce wyszła, obiecując wrócić później. Zoe po raz setny zapewniła ich, że czuje się zupełnie dobrze, po czym skupiła się już wyłącznie na Jake'u. Od chwili kiedy wwieziono ją tu z sali operacyjnej, cały czas stał przy oknie. Nawet jej nie dotknął, nie podszedł bliżej, a ona marzyła tylko o tym, by znaleźć się w jego ramionach. A on tak stał i stał w milczeniu, jakby dzieliła ich niewyobrażalna przeszkoda. Wiedziała, że

wszystko dopiero wtedy będzie naprawdę dobrze, gdy będzie mogła go objąć.

Mijały sekundy ciężkiego, dziwnego milczenia. Patrząc na jego plecy, zadała jednak to pytanie, choć jeszcze przed chwilą przysięgała sobie, że nie zada go nigdy.

- O czym rozmawialiście z tatą?

Dopiero wtedy się odwrócił i spojrzał jej prosto w oczy. Bardzo poważnie.

- O tobie.

- I nie pobiliście się? - Zoe była szczerze zdziwiona.

- Co mu takiego powiedziałaś?

- Że zamierzam cię poślubić.

Jego słowa dotarły do niej dopiero po kilku sekundach. Poczowała, że serce przestaje jej bić.

- Co takiego?

Jej słaby, cichy głos przyciągnął go do jej łóżka jak magnes.

- Powiedziałem mu, że chcę cię poślubić - powtórzył. Usiadł na brzegu jej łóżka i wziął ją za rękę. - Masz jakieś obiekcje?

Gdyby nie był tak blisko niej, pewnie by kilka wymyśliła. Ale kiedy trzymał jej rękę jak najcenniejszy skarb, kiedy kciukiem gładził jej dłoń, mogła myśleć tylko o tym, jak bardzo go pragnie. Jej serce ożyło.

- Jake...

Położył jej palec na ustach i nie pozwolił mówić. Jeszcze nie teraz.

- Nie, zaczekaj, chcę ci najpierw coś powiedzieć. Kiedy przeszła cię ta kula... Gdyby ten drań cię zabił, nie przeżyłbym tego.

Tym razem to ona go uciszyła. W ten sam sposób.

- Nie, bez przesady. Nie byłam aż tak ciężko ranna.



Może kiedyś, w przyszłości, kiedy te straszne wydarzenia będą już tylko wspomnieniem, powie, jak blisko był jej utraty, ale nie teraz. Ujął jej dłoń i leciutko pocałował.

- Kocham cię. Wiem, że może nie jesteś jeszcze gotowa tego słuchać, ale uznałem, że muszę ci to powiedzieć. Teraz. Ani chwili później. I tak zbyt dużo czasu straciliśmy.

W oczach Zoe pojawiły się łzy i spłynęły po policzkach. Kocha ją! Ileż w ciągu minionych dziesięciu lat spędziła samotnych nocy, marząc, by kiedyś usłyszeć te słowa z jego ust? Pragnęła, by spojrzął na nią tak jak teraz, jakby chciał zapamiętać każdy centymetr jej ciała. Wyciągnęła ręce, objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie.

- Ja też cię kocham - szepnęła, muskając wargami jego usta. - Nawet nie wiesz, jak ile mi było bez ciebie.

- O najdroższa...

Pocałował ją tak, jak pragnął od chwili, kiedy wwieziono ją tu po operacji. Nie mówiąc ani słowa, przekazał jej, jak bardzo się bał i jak bardzo ją kocha. Ale i tego było za mało. Wiedział, że nie będzie spokojny i nie wypuści jej z objęć, dopóki nie upewni się, że jest naprawdę jego. Na zawsze.

Ostrożnie, żeby nie urazić jej obandażowanego ramienia, objął ją i przytulił do siebie.

- Tym razem nie popełnimy dawnych błędów - szeptał w jej włosy. - Byłem zbyt dumny i zachowywałem się jak idiota. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że chciałem ci dać tak wiele, a do dama miałem tylko marzenia.

Zoe przytuliła się do niego i mocno objęła.

- Ja też niepotrzebnie tak się pchałam z tymi pieniędzmi, ale bardzo cię kochałam i nie mogłam patrzeć, jak ciężko pracujesz, żeby zarobić na własną ziemię, podczas gdy ja mogłabym ją tobie bez problemu dać. Powinnam bardziej szanować twoje uczucia, ale musisz mi uwierzyć, Jake, że pieniądze nic dla mnie nie znaczą i nie rozumiałam, czemu

byłeś na ich punkcie taki drażliwy. Wydawało mi się, że już zawsze będę cię musiała przeproszać za to, że nie jestem biedna.

- Nie będzie żadnych przeprosin. Koniec współzawodnictwa z twoimi rodzicami. Nie potrafię powiedzieć, co będę ci w stanie dać przez najbliższe pięćdziesiąt lat, ale obiecuję, że będę cię kochał do szaleństwa. Jeśli to za mało...

- Ja nie chcę rzeczy. Miałam to wszystko przez ostatnie dziesięć lat i bez ciebie nic dla mnie nie znaczyły. - Zoe ujęła jego dłoń i przyłożyła sobie do piersi. Chciała, żeby poczuł, jak mocno bije jej serce. - Tylko to jest ważne, co do siebie czujemy.

Tylko świadomość jej stanu powstrzymała go przed tym, co najbardziej chciał zrobić. Wiedział, że na to będą musieli jeszcze poczekać.

- O Boże, ależ cię pragnę - jęknął. - Jak tylko wydobrzejesz, bierzemy ślub. Żadnych wymówek - ostrzegł, kiedy wydało mu się, że chce zaprotestować. - Już zbyt długo czekaliśmy.

Rozbawiona jego autorytatywnym tonem, Zoe uśmiechnęła się.

- Wcale nie zamierzałam się wymawiać. Gdyby udało ci się ściągnąć tu jednego z urzędników taty, wyszłabym za ciebie nawet dziś. Ale nie to chciałam powiedzieć. Skoro mamy się pobrać, pora, żebym dokonała pewnych zmian w mojej pracy.

Jake zmarszczył brwi. Od dzisiejszego dnia jej praca zawsze będzie dla niego bolesnym tematem. Czy pogodzi się z niebezpieczeństwem, z jakim się wiąże? Nie chciał jednak zachowywać się jak jej rodzina, bo wiedział, ile to dla niej znaczy.

- Jakich? - spytał ostrożnie.

- Nie patrz tak na mnie - uśmiechnęła się i wygładziła jego brwi. - Jeden z największych banków w mieście zaproponował mi pracę. Miałabym prowadzić dla nich wewnętrzne śledztwa. Głównie za pomocą komputera, więc bezpieczniejszej roboty już chyba być nie może.

- Bezpieczna, czyli nudna?

- Wcale nie. Ale za to od dziewiątej do piątej. I w jednym miejscu. Nie będzie żadnego śledzenia po nocach niewiernych mężów. Wolę spędzać wieczory z własnym. I oczywiście wiernym.

- I on też to woli. Tym razem już to wiem.

- Zawsze tego chciałam - powiedziała i przypieczętowała swą obietnicę pocałunkiem.